

# Huragan

Wacław Gąsiorowski



calibre 0.9.27

Wieczór zapadał. Na drodze ciągnącej się od Brzezin ku Rawie włókł się mały, węgierski wózek, zaprzężony w parę gniadych mierzynek. Droga była ciężka, miejscami wąska, wypukła, zavalona kamieniami, to znów rozlewająca się w szeroki, piaszczysty gościniec. Wózek co chwila to zapadał w głęboko żłobione koleje, brzuchem swym muskając ziemię, to wspinał się z grudy, na grudę, z kamienia na kamień. Konie ustawały. Stary, skulony furman zachęcał je głosem, szarpał z lekka lejcamy lub smagał batem. Lecz i to przestało skutkować. Gniadosze rozwarły szeroko chrapy, najeżyły krótko strzyżone grzywy i zatrzymały się nagle dysząc ciężko.

Furman zeskoczył z wózka, a za nim siedząca obok niego baba. Z tylnego siedzenia zerwał się młody człowiek, zbudzony widocznie. i chwycił machinalnie za ukrytą w zanadrzu króciwę.

- Maciej! - zakrzyknął. - A tam co?!

- Ustały, panie poruczniku!

- Bo tyś zdarzony akurat do powożenia! - odezwała się baba. - Gnałeś... gnałeś... to i masz...

- Jasia, nie gadaj - upomniał babę furman.

- Nie gadaj i nie gadaj! - przedrzeźniała dalej baba. - A teraz konie wyłóż i ciągnij...

- Nie poradzi! - odparł flegmatycznie furman, rozwiązując postronki uprzęży.

- A też to skaranie boskie z tym chłopem. Młody człowiek nie zważał na dogadywanie baby. rękę do kaszkietu przyłożył i rozglądał się po okolicy. Wreszcie rzekł półgłosem jakby do siebie:

- Nie widać! Może lepiej wózek porzucić. Na przełaj mila mniej... Baba. rozpostarła ręce szeroko i podchwyciła żywo:

- Na przełaj? A toż byłoby dopiero! Ani myśli! Szkapiny się wydychają

krzynkę!... O... jak to parska! Zdrow! I dowleczem się. Gdzieżbym, ja to paniczka mego puściła na piechtę. Juści niejeden kraj się przemaszerowało, ale gdzie tu... samotrzeć!... Włóczy się różnego zbrojstwa. A nie uszliśmy to już z dziesięć razy rozmaitym?... Ja tam siadam na wózek i czekam! No, stary, czegoś gębę rozdziawił, dajże obroku! Taki to, panie poruczniku, ciemięga, a do strzelców konnych iść się napierał!...

Porucznik, zasypany potokiem wyrazów, uśmiechnął się smutnie.

- Dobrze mówicie, Żubrowa. Tylko czy poczciwe koniska wytrzymają, czy nie omdleją? Nie jestem tu obcy, papierów nie ma co okazywać... Sześć mil jednym tchem prawie przebiegły, a... ile jeszcze?

- Do Rawy, wedle rozkazu, będzie jedna, a potem, w bok, z półtorej.

- Wedle rozkazu! Wedle rozkazu! - powtórzyła z przekąsem baba. - Niby to pan porucznik kazał, żeby tyła jeszcze było!

- Jasia, nie gadaj - mruknął po swojemu furman.

- I to... zrobili podoficerem jeszcze! - gderwała dalej baba.

- Ano trudno - przerwał porucznik. - Wysyp im resztę obroku. Niechaj wypoczną. Noc zapada. Podjedziemy do miasta. Żubrowa skoczy potem cichaczem na rogatki. A nie macie tam czego w torbach?...

- Et, nie ma strachu! Markietanka głowę na karku może ma lepszą niż niejeden podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii!...

Na potwierdzenie tych słów baba skoczyła do wózka i jęła wydobywać zeń prowianty i gąsiorek z wódką. Porucznik przysiadł nad rowem i zabrał się ochoczo do jadła, przepijając ze smakiem.

- Gdańska! - zauważył z ukontentowaniem. - Pijcie i wy. Baba chwyciła za flaszkę i pociągnęła mocno raz i drugi.

- Co nasze, to nasze! Aż gorącość w człeka wstępuje a żywość. Lepsze niż te italskie napoje, co choć gębę ze słodyczy skleją, a jeno ckliwość po nich ostaje i zgaga. Stary, masz i ty, a folguj, bo mi się spijesz!... Już to głowę masz na nic. Widzisz, stary, nawet kule cię mijały, słusznie mądrzejszych łepetyn szukając... Pod tym Holindem... - Hohenlinden! - poprawił porucznik.

- Kto by tam spamiętał - pod Holindem już-już leciała na niego jedna, ale jak ci nie zobaczy z bliska tej kapuścianej głowy, tak dalej w bok, ledwie mu

pogardliwie koło ucha gwizdnęła i przebiła porucznikowi Dziurbasowi kaszkiet!... Albo choćby w bitwie nad Adygą. Stoję sobie przy ambulansie, a tu nieprzyjaciel plunął na przywitanie rotowym ogniem; patrzę, w drugiej kompanii, na lewo, kiwnęła się czapka – myślę, nareszcie mój dryblas się doczekał! „Jesteś wdową, madame Żubrowa”. Chwytam za manierkę, aby mu się dać napić na drogę żywota wiecznego i wciskam się między szeregi... Aż tu mój stary gryzie sobie najspokojniej ładunek! A kapral Michał Zadera leży jak długi i ani zipnie! Poczciwe było człeczysko. Nieraz, bywało, jeść nie ma co, aż zatyka. A tu Zadera naraz się zjawia. „Pani Żubrowa – powiada – bydlaka sobie zjemy! Co?!” Ja mu na to zła: „Juści bydlaka się zachciewa – a pomidorów z oliwą nie łaska?” A ten aby białkami łypnie i patrzę, a już z kieszeni ciągnie przepiórkę, niby psa za ogon! Dobrze było chłopisko...

Baba urwała, rękawem oczy przetarła i nagle zamyśliła się. Porucznik odwrócił głowę i zapatrzył się w zapadające mroki nocy. Żubr jął opatrywać konie, które ostygły i potrzęsały już ochoczo uzdami.

Nagle stary podoficer drgnął i zaczął nadśłuchiwać. Na drodze, od strony Brzezin, rozległ się miarowy tętent. Żubr podskoczył ku porucznikowi.

– Melduję pokornie, iż ktoś za nami nadjeżdża! Porucznik zerwał się z miejsca i skoczył do wózka.

– Siadać żywo i ruszajmy.

Żubrowi nie trzeba było rozkazu powtarzać. Nakarmione mierzynki pomknęły żwawo.

Podróżni jechali przez chwilę w milczeniu. Turkot wózka wśród nocnej głuszy rozlegał się dokoła. Aż oto czujne ucho furmana pochwyciło nowy odgłos, bo zaciął silnie mierzynki i szepnął, nachylając się wpół ku porucznikowi:

– Melduję pokornie, że nas gonią!

Jakby na potwierdzenie tych słów, gdy wózek wjechał w piaszczystą kolej, a turkot jego ucichł, równocześnie na drodze, w oddali, rozległ się już przyspieszony tętent kopyt końskich.

– Ilu może być?

– Czterech... pięciu!

– Mądrała – mruknęła baba.

- Zwolnić - zakomenderował porucznik. - Żubrowa na moje miejsce! Nie ujdziemy! Broń opatrzyć! Uważać! Jakby więcej... to pójdziemy w pole!

Rozkaz wykonano natychmiast. Mierzynki przeszły na spokojnego truchta. Baba rozsiadła się wygodnie w tyle. Porucznik nasunął kaszkiet na oczy i zajął miejsce obok furmana. Tymczasem pogoń zbliżała się coraz szybciej, wreszcie, gdy przysunęła się na odległość strzału, dał się słyszeć donośny głos: - Hej, tam! Stać w miejscu! Wózek zatrzymał się.

- Prusacy! - szepnął porucznik pochwyciwszy w lot znany mu dobrze akcent.

Baba nie straciła rezonu, wykręciła się na siedzeniu ku nadjeżdżającym i zakrzyknęła tonem sprawiedliwego zniecierpliwienia:

- No więc stoję! I cóż?... Czego to waćpanom potrzeba? Jezdni otoczyli wózek. Jeden z nich wysunął się naprzód i łamaną polszczyzną zaczął:

- Dokąd? I skąd?!

- A to pan nie widzi, że na drodze do Rawy! Olaboga, cóż to? Do domu wracać nie wolno?!...

- Ci ludzie z wami?

- Ci ludzie? Znać, że waćpan nietutejszy, adyc to ten pijak, mój furman, niedołęga, a ten drugi... pociotek...

Jeździec, snadź nie mogąc rozeznac podróżnych w ciemności, zakomenderował sucho:

- Wózek w środek i marsz!

- Niby jak to? - odezwała się Żubrowa.

- Papiery macie?

- A czy to bez papierów kto jeździ?!

- Tym lepiej dla was. Zobaczy się Rawie.

- Niech będzie w Rawie! Albo to pana starosty nie znam!! Oho!

- Starosty! - zaśmiał się ironicznie jezdny. - Zobaczysz ty starostę, że aż landrata popa miętasz! Hans, naprzód!

Wóz, otoczony jezdnyimi, ruszył powoli zmiejsca.

Milczenie zaległo wózek. Żołnierze konwoju przyciszoną jęli prowadzić rozmowę.

Baba nie mogła wytrzymać długo i szturchnęła w plecy furmana – szepcząc przez zęby:

– Słyszysz, stary, jak szwargoczą? Tyle drogi i u brzegu przyjdzie ugrząść. – Nie gadaj! – wycedził dobitnie Żubr.

Porucznik tymczasem rozglądał się dokoła, próżno usiłując przeniknąć ciemności. Żubr ze swej strony, jakby odgadując myśli porucznika, wzrok wyteżał, a wykręcał się nieznacznie.

W końcu nachylił się i rzekł uroczyście:

– Pokornie melduję, że sześciu.

Potężny kułak w plecy był mu odpowiedzią.

– Widzisz – ozwała się Żubrowa, korzystając z tego, że wózek wjechał na wyboisty kawałek drogi i jął dzwonić łańcuchami i trzaskać – widzisz, niedołęgo, a mówiłeś, że czterech! Kapuściana głowa! Skaranie z tym chłopem!...

Żubr ani drgnął, oczy wytrzeszczył i głowę ku jadącemu obok wózka nachylił. Badanie było długie.

– Melduję pokornie – żółte huzary.

W tejże chwili spoza chmur wysunął się rąbek księżyca. Światło jego padło na twarz jadącego tuż obok wózka. Stary Żubr zadrżał i chwycił machinalnie porucznika za ramię tłumiąc dobywający się z piersi okrzyk.

– Schmidt! – rzucił przez gardło.

Huzar poruszył się na siodle i zawołał groźnie:

– Hej! Co tam za szepty! Cicho być!... Mieć ich na oku!...

Porucznika zimny dreszcz przeszedł. Tak, to był głos Schmidta! I w jednej chwili cała przeszłość stanęła mu przed oczyma. Było to dwanaście lat temu, gdy służył w kawalerii pod Madalińskim, brygadierem. Nakazano zmniejszyć regimenty, kasować pułki; Madaliński, a z nim jemu oddana drużyna nie chciała się rozstać z mundurem. Brygadier poprowadził. Rozpoczęto walkę na swoją

rękę. I tu, w Rawie, napadnięto dwudziestu piechoty i piętnastu huzarów. Jednemu z nich, właśnie porucznikowi Schmidtowi, on sam głowę rozplątał pałaszem. Ktoś usłużny z rawian wskazał jego nazwisko. Zrobił się gwałt za napaść. Na usługach pruskich będące sądy odsądziły go od czci i wiary. Po Maciejowicach, gdy chciał wracać do stron rodzinnych – tu, pod Rawę... nie mógł. I powlókł się oto na tułaczkę w świat. Dziś mniemał, że nie poznany przez obecnych, prześliznie się do domu i dalej, do Warszawy, spokojnie dotrze... gdy oto spotyka znów tego samego Schmidta! A może go nie pozna? Ryzyko zbyt wielkie. Boć nie o jego życie tu szło tylko, lecz o papiery; o ekspedycję do księcia! Dotychczas porucznik szczęśliwie unikał bliższych indagacji; paszporty, legalizowane w Berlinie, otwierały mu wszędzie szlabany od Poznania aż do Konina i Kutna, tu jednak sprawa mogła być cięższa. Najmniejsze podejrzenie wtrąciłoby go do więzienia, a cóż dopiero oskarżenie Schmidta!

Porucznik sięgnął w zanadrze i trącił z lekka Żubra. Stary podoficer zrozumiał znak, bo, przerzuciwszy lejce do lewej ręki, prawą opatrywał pistolet.

– Żubrowa! – szepnął porucznik zwracając się ku babie. – W łeb.

– Tego z tyłu? Już go ściągnę!

Nastąpiła krótka pauza, a po niej ostry głos porucznika:

– Pal!

Trzy strzały padły równocześnie i trzech jadących najbliżej wózka huzarów stoczyło się z koni na ziemię. Pozostali osłupieli na razie, lecz nie tracąc przytomności, podskoczyli do wózka z podniesionymi w górę pałaszami. Baba i furman zdążyli umknąć na ziemię, nad głową porucznika zawisło ostrze pałasza. Lecz szybkim ruchem zdołał uchylić się na bok i uniknął cięcia. Rozwścieczony huzar zamierzył się po raz wtóry, lecz równocześnie znalazł się w żelaznym uścisku starego Żubra. Drugi huzar nawrócił konia i usuwającego się porucznika zawadził po ramieniu końcem szabli, lecz w tejże chwili padł mowy strzał i kula przeszła plecy huzara. Piąty chciał natrzeć z drugiej strony na porucznika, lecz widząc czterech towarzyszy rozciągniętych na ziemi, spiął konia ostrogami i pomknął ku Rawie. Żubr tymczasem cisnął coraz gwałtowniej swego przeciwnika. Próżno huzar wił się i starał chwycić podoficera za gardło. Siły go opuszczały, mdlał prawie w stalowym uścisku, wypuściwszy z rąk cugle, i słaniał się bezwładnie. Naraz Żubr jęknął przeciągle. Baba, która właśnie w tej chwili położyła trupem huzara, podbiegła do walczących. – Jeszcze się z tym robakiem mordujesz?! – zakrzyknęła. – Gryzie! – jęknął z bólu Żubr. – Poczekaj! Nakarmię ja go zaraz.

To mówiąc, sięgnęła do olster huzara, wyciągnęła króciwą i strzeliła huzarowi prosto w usta.

Żubr odetchnął swobodniej. Otarł zimnym potem zroszone czoło, sięgnął ramienia i syknął przeciągle.

- Co ci to, Macieju?! Skaleczył?... - pytał niespokojnie porucznik, gramoląc się z drugiej strony wózka.

- Głupstwo! - wtrąciła Żubrowa. - Że Prusacy na świninę łasi, o tym nie powiadam, ale żeby ich brała chęć takie obrzydliwe mięsisko kosztować - nadziwić się nie mogę!... No chodź, stary, nie bocz się! Naści tu bandaża i szarpi. Zawiąż, a później zobaczymy! A pan porucznik?

- Draśnięty! No, czasu nie tracić, bo nam tu szwadron cały tych kanarków spaść może na głowę. Zabrać im pistolety i w konie!...

Porucznik podbiegł do wózka, wydobył zeń małą szkatułkę i ukrył na piersiach. Żubr siadł na huzarskiego konia, który był się w opadłych cuglach spętał, i pokłusował w pole szukać rozbiegłych koni. W kilka chwil wrócił z dwoma. Porucznik wskoczył na siodło, baba wgramoliła się także razem z wielką, skórzaną torbą i ruszono z kopyta w bok przez pola, pozostawiając na łasce losu wózek, parę mierzynków i pięciu dogorywających huzarów.



W obszernej jadalni gotartowickiego dworu panowała głęboka cisza. Pani Jadwiga Gotartowska w milczeniu krzątała się koło zastawy do wieczerzy, wyręczając się od czasu do czasu dorastającą córką, jasnowłosą panną Urszulą, i spoglądając z niepokojem w stronę kominka, przy którym zgarbiony starzec gwarzył półgłosem z osiemnastoletnim wyrostkiem. Rozmowa snadź zaciekawiała mocno młodzieńca, bo oczy mu się iskrzyły, żywe rumieńce paliły twarz delikatną, białą. Starzec niemniej był przejęty, ręce mu drżały, głos niekiedy łamał się i ginął w zapadłej piersi.

Panią Jadwigę znecierpliwiła w końcu ta konferencja, bo ozwała się znieńcka:

- Dziaduniu! Wieczera na stole! Marcelek wie o tym, słyszał nieraz. A młodemu to się tylko w głowie mroczy i Bóg wie czego się zachciewa.

- A, moja pani synowo! - odparł staruszek urażonym nieco tonem. - Chłopak rośnie, trzeba, żeby o tym i o owym się dowiedział, poznał sprawy publiczne... a suponować śmiem, że niejednego jeszcze od dziada nauczyć się może!

- Nie neguję - rzekła pani Jadwiga. - Jeno uważam, iż Marcelka zbyt wielka ochota do wojaczki ogarnia. I na co? Gdzie znajdzie upust dla swoich zapałów? Maż jak Florian przepadać po świecie i tułać się? Nie dośćże łez wylałam? Józef zmarniał na Wołoszczyźnie z konfederatami. Od lat trzynastu z górą ani słyhu o nim. Czterech dochowałam się synów i cóż? Mamże pomoc z nich, wyrękę? Florek zaawanturował się z Madalińskim, Staszek aż drży, aby jeno swoje amory zakończyć i przy rodzicach Marysieńki osiąść. Któż zostanie? Marcelkowi do palestry pora, a Fabian w konwikcie<sup>4</sup>. Staruszek obruszył się i spojrzał ostro na swego słuchacza.

- Tak! Dobrze pani matka mówi. Palestra, mości panie, i basta. Jać też nie powiadam, broń Boże, aby ci jaka myśl niedorzeczna w głowie miała postać. Widzisz, to były czasy inne. Zakonotować sobie niejedno nie wadzi, ale reszta... Ponoć praca na roli, w urzędzie, dla publicznego dobra owocniejszą bywa od hajdamaczyzny. I gdzie tu jeszcze z motyką na słońce... Phi! Prawią tam ludziska o tym waszym Napolionie. Koszałki opałki, mości panie. Nie wierzę ja w wasze Hannibale. Nie pora dziś na Cezary i Aleksandry Macedońskie. - A ksiązę Józef - podchwycił szybko młodzieniec, rad wielce, że rozmowa znów na ulubione weszła tory.

- Hm! Jak to książę. Wychuchany, wymuskany, wypieszczony. Zabawy w głowie!... Żeby to miał choć inny przykład! Ba! Właśnie podsędek Psarski, jak tu wstępował, wracając z Warszawy, powiadał mi o nim. Uciechy jeno, z Prusakami co możniejszymi za pan brat! Mizerne paniątko, zepsute, i tyle! Marcelek się zamyślił. Pani Jadwiga wmieszała się znowu:

- Dosyć! Dosyć. Niech dziaduś jegomość usiądzie. Urszulo, idź przywołać Staszka. Do obór pewno poszedł na obchód. Może i Lewandowskiego w drodze gdzie napotkasz. Urszula wysunęła się cicho z jadalni.

Dziaduś powoli zajął miejsce przy synowej. Nadszedł wkrótce i Staszek z Urszulą, a później zjawił się niepostrzeżenie stary ekonom Lewandowski.

Wieczera się zaczęła, lecz szła niesporo. Misy schodziły prawie nietknięte. Pani Jadwiga zachęcała do jadła, lecz każdy się wymawiał. A i ją samą odeszła też ochota. Smutne myśli ją napastowały. Los synów trwożył. Jeden już poszedł, drugi, Staszek, lada dzień wyrwie się za narzeczoną... a i ten jeszcze!... - westchnęła głęboko a ciężko.

Stary dziaduś także się zasepił. Słowa synowej obudziły w nim przykre refleksje. Może i racja? Marcelek coś nadto się dopytuje. Gorąca krew, gotów polecieć... Bóg wie gdzie! Chłopak może zmarnieć jak ojciec, biedak... A i kto wówczas ucieszy starego dziada?

W tejże chwili Marcelek, widząc zamyślenie starego, ozwał się chytrze:

- Dziaduś jegomość skończyli na oblężeniu króla Leszczyńskiego w Gdańsku...

- Właśnie - zaczął żywo staruszek, lecz w tejże chwili spostrzegł się, nasunął siwych krzaczastych brwi i zachnął się ostro:

- Dość, mospanie! Później się dowiesz! Alwar wziąć do ręki, wokabuły przepowiadać, byś wstydu pijarom nie przyniósł. Głupstwa asanowi w głowie, i tyle.

Marcelek się zasmucił i nadaśał. Staruszkowi żal się zrobiło chłopca, więc dodał łagodniej: - Piękna to rzecz rycerstwo, ale przede wszystkim statek i pomiarkowanie. Z każdej opowieści zdrowe trzeba wyciągnąć sensum. I nie o junakerii, awanturach a dziwacznych przygodach myśleć!

Pani Jadwiga na tę naukę skinęła twierdząco głową i rzekła po chwili:

- Mości Lewandowski! Ponoć wydano znów nakazy o ściąganiu rekruta?

- Tak jest, proszę waszej miłości! Z rana zajeżdżał urzędnik z Kriegskamery i

zapisywał dymy. Jenó patrzyć, a co lepszych parobków nam wybiorą.

- Smutne czasy! - zauważyła pani Jadwiga. - W Krakowskiem, pod Austriakiem nielepiej. - Czy prawda, że Marcelek do palestry ma pójść? - zapytał Staszek.

- Trzeba, żeby szedł - odpowiedziała pani Jadwiga. - Niech trochę ludzi pozna, zaprawi się. Na rolę czas mu jeszcze.

—Zapewne, pani matko! Tylko gdzie on tę palestrę znajdzie? Sądy zniesione, inne prawa i język obcy. Nasze Volumina legum zamieniono na Landrecht<sup>10</sup>, a trybunały na Justizkomisje i Kreisgerychty...<sup>12</sup>

- Szelmy, rządzą się jak u siebie - szepnął dziaduś.

- Co robić! - rzekła pani Jadwiga. - Marcelek wzrasta. W domu trzymać? Niech język łamie, gdy inaczej nie można.

- Lewandowski mówił - ozwał się Staszek - że podobno przyszły słuchy o wielkich bitwach z Francuzami.

- Ba-ba! Czego ludziska nie mówili! że Napolion wojnę Austriakowi wydał i że się koronować królem naszym zamyśla... Pani synowo, my tam nic podobnego już nie doczekamy! - Oj, pewno! - przyznała smutnie pani Jadwiga. - Niechby już raz pokój jaki nastał alboli ład przynajmniej... Nie wiadomo, co począć, jak się rzędzić?! W którą stronę się zwrócić? - Tu źle, mospanie, i tam niedobrze. Niemców zewsząd niby mrowie naszło. Grunwald im pachnie. Radź tu teraz ze smykiem takim! Ot, za mojej pamięci chłopiec szedł na pański dwór... a nawet i do palestry!... Ale palestra była szkołą, mospanie, największych statystów<sup>13</sup>. Tam człek młody zaprawiał się do pracy publicznej, tam poznawał prawo, tam...

Starowina uciał nagle i pogrążył się w zadumie. Szkliste jego oczy mgłą zaszyły. Zebrani nie śmieli przerywać milczenia. Tylko świece łojowe skwierczały hałaśliwie w lichtarzach. Nagle, poza oknami, dał się słyszeć stłumiony zgiełk, a potem gwar w sieniach dworu. Zanim ekonom Lewandowski zdołał wybiec, aby zapytać się o przyczynę hałasu, do jadalni wpadł jak kula stajenny pacholek. - Panicz przyjechali! - zakrzyknął.

Pani Jadwiga zerwała się z miejsca, za nią ruszyli od stołu wszyscy. Tymczasem w progu ukazał się młody mężczyzna silnej budowy, ogorzały, w podróźnej, zniszczonej odzieży. Stał tak przez chwilę w niemym wzruszeniu, wreszcie rzucił się naprzód i padł do kolan pani Jadwigi. - Florek! - zawołała ta ostatnia, chyląc się do głowy syna. - Tyżeś to, mój synu drogi!

W jednej chwili rodzeństwo otoczyło zwartym kołem powracającego brata,

chwytając go kolejno w ramiona. Dziaduś aż trząśił się z radości, śmiał się, dygotał jak w febrze, a łzy jak groch spływały mu z oczu.

Gdy pierwsze powitania przeszły, zasadzono Floriana do posiłku i zarzucono pytaniami, nie bacząc, iż we drzwiach do sieni gromadka ciekawych przypatrywała się tej scenie. Dzia-  
duś ich dostrzegł.

- Dalej! - zawołał. - Powitać, mospanie, panicza!

Czeladź rzuciła się za nogi go ścisnąć, a po rękach całować. W ciżbie a tłoku powstałym nikt na razie nie zauważył wyprostowanego na uboczu chłopca i przysadzistej obok niego baby. Dopiero gdy pani Jadwiga dała znak czeladzi, aby odeszła, dostrzegła dwie marsowe figury i zapytała niespokojnie: - A to kto taki?

- Maciej Żubr, podoficer pierwszej legii, pierwszego batalionu, drugiej kompanii! - odparł chłopiec wyciągając się jak struna.

- Joanna Żubrowa, markietanka pierwszej legii, pierwszego batalionu - zawtórowała baba. - Ha, ha! Zapomniałem mamie dobrodziejce sprezentować moich towarzyszków. Maciej, dzielny chłop... przystał był jeszcze do naszego regimentu pod Madalińskim i tak tułaliśmy się razem... a Madejowa przywędrowała za mężem spod Zamościa do Lombardii... Zabraliśmy ją także do legionów. Teraz, gdy do kraju jechać musiał, a generał Dąbrowski towarzyszy szukać mi radził, zabrałem ich. Przyjmijcie ich, pani matko, całym sercem. Warci tego oboje. Et, gdyby nie Żubr... nie Żubrowa, nie raz, ale dziesięć razy już bym was tu nie oglądał!...

- Siadajcie z nami - zakonkludowała pani Jadwiga, choć marsowa twarz baby dziwną jej się wydawała. - I do jadła! Urszulko, każ miode utoczyć.

Podoficer z markietanką zajęli miejsca i rozmowa poszła gwarna, bezładna, gorączkowa. I opowiadał Florian, jak po rozbiciu Madalińskiego i osadzeniu go w więzieniu berlińskim poszedł w świat niemal o żebraczym chlebie, jak w Heidelbergu natrafił na rodaków, którzy go wspomogli i do Paryża wyprawili, jak w stolicy Francji, Barssa, dawnego Rzeczypospolitej agenta, poznał i przez niego znalazł zasilek u pana Józefa Wybickiego i pana de la Roche, jak był świadkiem rządów porewolucyjnego Dyrektoriatu, jak potem wyjechał za generałem Dąbrowskim do Mediolanu. I snuł dalej jeden nieskończony obraz bitew, potyczek, rekonesansów, nocnych wycieczek, nędzy, głodu i nieszczęścia. Z ust Floriana wyrывały się niekiedy westchnienia, czasem w oku jego zatliły się iskry, a pięść kurczyła się, zaciskała. Słuchano go z zapartym

oddechem.

Chwilami głos porucznika drżał i łamał się ze wzruszenia, zwłaszcza wspominając męstwo Kniaziewiczza; a gdy wymówił po raz pierwszy imię „Bonaparte”, słowa uwięzły mu w gardle i umilkł.

Dziadkowi na pergaminowej twarzy wystąpiły ceglaste wypieki. Starego konfederata paliła ciekawość. Chwycił wnuka za ramię i cisnąc je z wysiłkiem, szeptał z przejęciem: – Florku! Powiadaj mi o nim!...

– Napoleon! – zaczął wolno Florian. Żubr i Żubrowa powstali z miejsc.

– Było to pod Marengo – mówił cicho porucznik – druga kompania pierwszego batalionu została odkomenderowana dla uzupełnienia gwardii grenadierów konsularnych. Zajmowaliśmy stanowisko pomiędzy rzeką Bormidą i wsią Marengo. O świcie Austriacy zaczęli kanonadę; było ich czterdzieści tysięcy, nas zaledwie dwadzieścia. Pierwszy natarł generał Victor, lecz go rozbito, Lannes musiał się cofnąć. Nas ustawiono na prawym skrzydle. Austriacki generał Zach rusza w pięć tysięcy starych grenadierów. Z daleka już widzimy białe mundury... jeszcze chwila, a spadnie na nas grad kul i las najeżonych bagnatów. Wtem, jak grom, przed czołem naszej kolumny staje on... Bonaparte! Koń pianą okryty. W zielonym surducie, w otoczeniu sztabu i Mameluków<sup>14</sup>.

Spojrzał wzrokiem sokolim, rękę ku nam wyciągnął przyjaźnie i zawołał:

„Żołnierze! Nie zapominajcie, że mamy zwyczaj noc na polu bitwy przepędzać!”

Odpowiedzieliśmy okrzykiem pełnym zapału. Skinął. Gwardia poszła... Dwie godziny stawialiśmy opór czterokrotnie liczniejszemu nieprzyjacielowi. Sześć natarć wytrwaliśmy z bronią w ręku, sześć razy Austriacy musieli się cofać. Gwardziści walczyli jak lwy, umierając z imieniem Bonapartego na ustach. Nastąpił atak siódmy, straszny, zażarty. Kolumna się zachwiała. Generał Desaix pada rażony kulą. Dobywamy resztek sił, gdy naraz młody Kellerman uderza kawalerią z boku na lewe skrzydło, łamie je, rozprasza i wrzyna się w środek kolumny Zacha. Austriacy się mieszają i rzucają do ucieczki, nasi za nimi!... Pięć tysięcy poległych i dziesięć rannych, i tyleż niewolnika. Zmierzchało się. Bonaparte objeżdżał plac boju. Ja byłem ranny lekko, opatrywał mnie medyk. Wtem... nadszedł na to miejsce właśnie z adiutantem. Spojrzał na pobojuwisko, gdzie ziemia niebieszczyła się od mundurów gwardyjskich, i rzekł smutnie: „Tu leżą bohaterowie!” Wpadłem mu w oko, zoczył moje amarantowe wyłogi i rzekł: „Polak?” „Tak jest, generale” – odpowiedziałem.

„Jesteś podporucznikiem legii?! Będziesz porucznikiem gwardii konsularnej”.

„Generale – ozwał się – pozwól mi zostać w legii między swoimi”.

Adiutant się zmarszczył.

Napoleon atoli uśmiechnął się dobrotliwie.

„Zuch! – mówi. – Oni wszyscy tacy! Przypomnij mi o nim”.

Odjechał. – A ty, biedaku? – zagadnęła żywo pani Jadwiga.

– Et! Nic. Lekka kontuzja. W tydzień wyszedłem z ambulansu. Potem było Hohenlinden, Salzburg, przejście Salzy. Później nas rozdzielono. Generał Jabłonowski wyjechał z częścią na San Domingo... ja za generałem Dąbrowskim wstąpiłem na służbę neapolitańską. Tam przetrwałem lat kilka, obawiając się wracać do kraju. Bonapartego obwołano cesarzem. Wynikł zatarg z Prusakami. Generał przywołał mnie i powiada: „Jedziesz, Gotartowski, ze mną?” „Jadę!” – odpowiadam.

W przebraniu, udając Włochów, ruszyliśmy do Francji. Żubr z żoną napierali się. Zabrałem ich także. Armia francuska stała nad Renem. Cesarz wypowiedział wojnę Prusom. Dwanaście dni temu była bitwa pod Jeną. Prusacy rozbici. Napoleon w Berlinie. Mnie generał wysłał do Warszawy.

Florian urwał w tym miejscu, znużony. Słuchacze siedzieli w niemym osłupieniu; ten Napoleon, druzgoczący królestwa, wywracający trony, znoszący armie, jeszcze niedawno oficer, a dziś cesarz wszechwładny, na skinienie którego drżał Egipt, korzył się Rzym – wydawał się mitem jakimś, legendowym bohaterem. Pierwszy otrząsnął się z wrażenia dziaduś.

– Prusakom wytatarował skórę – powiadasz? A, mości panie, to mi się podoba! Bo, że tam różne Lombardy, Wenecjany zawojował, że wszelkiej włoszczyzny Austriaka pozbawił, a Anglikowi za pazury załazł, no toć jego francuska w tym sprawa, lecz kiedy mi mówisz, że aż w Berlinie siedzi... w to mi graj, mospanie! Przyszła kryśka na Matyska! Dobrze im tak! Uściskałbym go! Dalipan, po trzykroć uściskał! Niech mają!

Korzystając z przerwy w opowiadaniu, Żubr zbliżył się do Floriana i szepnął mu coś na ucho. Ten ostatni powstał i rzekł poważnie:

– Pani matko! Kilka słów proszę na osobności. Pani Jadwiga drgnęła, złym przecuciem wiedziona, i wyszła prowadząc syna do alkierza.

Tymczasem rozochocony dziaduś skinął na Żubrową i Żubra, posadził ich przy

sobie, nalał  
im po szklanicy miodu i – „mówcie” – zachęcał.

– Wedle rozkazu! – odrzekł uroczyście Żubr i umilkł.

Żubrowa pośpieszyła mu z pomocą.

– Już to, WMPanie, mój stary do gadania wcale nie jest zdarzony, bo co głowę, to miał zawsze słabą, a od tego zadawania się z różnymi narodami, to mu język do cna skołkowaciał. – Hic mulier<sup>15</sup>! – zauważył śmiejąc się staruszek. – Być Napolionem nie sztuka, jak ci takie ma Amazonki. Dużo takiego regimentu niewieściego było?...

– Jeden pułkownik w batalionie i jedna markietanka. Trzy bataliony w legii, więc i trzy markietanki – odparła Żubrowa.

– I cóżeś to waćpani robiła? – zagadnął staruszek chcąc babę pociągnąć za język. – Gdyż, chociaż sięgam pamięcią w czasy odległe, takiego babskiego urzędu uprzytomnić sobie non possum<sup>16</sup>?...

– I pewnie. U nas dawniej bo, WMPanie, bywała prawie sama kawaleria, a dopiero gdy nasze wojsko zaczęło na piechotę po różnych krajach wędrować, bez markietanek ani rusz!... Służba ciężka. Markietanka niby ma wiktuałami handlować przy wojsku... ale gdzie tam! Na wymarszu to i owo zakupić można, a potem głodem się handluje a nędzą. A gdy i dźwiga się co w wózku, toć kupić nie mają za co, a dać trzeba. Bitwa – trudno się markietance pod korzec schować, temu i owemu ranę opatrzyć trza, boć i medyk nie nastarczy! Niekiedy umierającego dobrym słowem pożegnać przyjdzie albo i samej za karabin chwycić.

– Florian sprawiał się dobrze. Co? Hęę?!

– Wielmożny panie, co wielki oficer, to wielki, że nie łzę, to niech mnie kula nie minie. Bywało, major Pokrzywnicki przyjedzie przed front do naszego kapitana Komorowskiego i powiada: „Florka mi – niby naszego panicza – strzeż, bo to oficer pierwszej wody, takiego porucznika między generałami byś nie znalazł!...” Przedni miodek, tylko ty, stary, nie pij, bo masz głowę na nic. Oddaj mi, niech sobie zwilżę! Ho! ho! Nasz porucznik srogi we froncie! A sam pierwszy wszędzie. Kompanią głodna, toć i on głodny. Piechurowi buty z nóg spadają, i jego nielepsze. Ma swoje, co mu wydzielą, to temu zaraz furażerkę, innemu mundur albo i płaszcz kupi i daje. Wielmożni państwo spoglądają na te nasze podarte łachmany i dworują sobie... Trudno, mundury trzeba było zrzucić. Między Prusakami niesporo. – Aścka też w mundurze chodzisz?

- To dobre! A jakże! Mundur jak się patrzy, z wyłogami, kokarda francuska u czapki, tylko różnica, że bez hajdawerów.

- Nie gadaj, Jasia, wedle rozkazu - wtrącił nieśmiało Żubr, nabierając po miodzie rezonu. Baba aż skurczyła się na ławie.

- Macieju! Śmiesz mi jeszcze dogadywać. Poczekaj! Popamiętasz!... Ale jest jeszcze sprawiedliwość. Ugryzł cię Prusak, poczekaj, ugryzie inny lepiej!...

Dziaduś, a za nim Staszek, Urszula, Marcel i ekonom aż pokładali się ze śmiechu, słuchając wynurzeń Żubrowej.

Naraz drzwi alkierzyka się otworzyły i wyszła pani Jadwiga blada, znękana, z oczyma zaczerwienionymi, za nią szedł Florian. Zasiedli przy stole. Obecni spojrzeli po sobie, wesołość znikła. Pani Jadwiga wodziła smutnie oczami po twarzach synów. Jeden w drugiego mężczyźni piękni, o włosach jasnych, oczach dużych, niebieskich, rysach twarzy kształtnych. Widziała ich teraz razem, obok siebie siedzących, a jutro?... Florian wstał nagle i jął się rozglądać niepewnie.

- Komu w drogę, temu czas! - rzekł siląc się na spokój. Dziaduś spojrzął nań zdziwiony. - Co pleciesz, mospanie? Florian schylił się do ręki starca.

- Służba! Muszę ruszać dalej natychmiast. Chwili jednej stracić mi nie wolno. Za tydzień, dwa, może da Bóg, zajadę na dłużej...

- Florku! - ozwał się poruszony staruszek. - Dziesięć lat nie byłeś... pacholęciem z domu wyszedłeś i po dziesięciu latach...

Ręce pani Jadwigi drżeć febrycznie zaczęły. Florian pasował się sam ze sobą. - Wiem ci ja o tym! Wiem! Ciężko mi, ale trzeba...

- Nie poraż by odpocząć po tylu latach?! - upominał staruszek.

- Oj, nie pora! - wyrzekł smutnie Florian. - Kto raz się służbie publicznej poświęci, temu nie wolno ustawać!... Co tam! - dodał weselej. - Obaczmy się wkrótce. A tymczasem zostawię wam tu załogę! Żubr i wy, Żubrowa, zostaniecie tutaj. - Wedle rozkazu! - Pana porucznika samego mamy puścić?

- Tak trzeba. Dawno marzyliście o tym, żeby gdzie kąt znaleźć spokojny. Więc go macie. W drodze was nie potrzebuję. Pojedzie ze mną chłopak stajenny, zresztą, po ostatnim wypadku, moglibyśmy łącniej wpaść w ręce Prusaków. Do Warszawy już niedaleko.

Pani Jadwiga przywołała ekonoma i wydała mu jakieś ciche rozkazy.



Florek żegnał się kolejno ze wszystkimi. Dziaduś rozplakał się jak dziecko i znakiem krzyża błogosławił wnuka. Pani Jadwiga słów znaleźć nie mogła. Tuliła głowę syna do piersi i łkała cicho.

Ekonom dał znać, że konie gotowe. Porucznik wskoczył na najbliższej stojącego.

Pachołek siadł na drugiego, trzy nadto luzem prowadząc na długiej lejcy.

- Bywajcie! - zawołał Florian i spiął konia.

Głuchy jęk był mu odpowiedzią.



Florian wjeżdżał do Warszawy w pobożnym skupieniu. Tyle lat na tułaczce spędził, tyle razy tracił nadzieję jej oglądania. Tu nareszcie przyjmą go z otwartymi rękoma, sercem. A brakło mu, jak wszystkim zresztą legionistom, bratniego uścisku. W Warszawie nie będą go już pytali, jak tam, u brzegów Adriatyku – dlaczego dobrowolnie skazał się na trudy wojenne, dlaczego w dali od swego kraju przelewał krew dla spraw cudzych, interesów obcych, honoru i sławy nie swojej.

Było południe. Mieszkańcy Warszawy, korzystając z pogodnego dnia, tłumnie wylegli na ulice. Florian z trudem przeciskał się przez ciągnące we wszystkie strony sznury wozów, bryk i kałamaszek szlacheckich. Niekiedy z bocznej ulicy wypadła szeroka karoca poszóstna, w oknie której mignęła twarz posępna, surowa, pańska. Bokami szedł pstry, różnobarwny tłum, przedstawiający dziwną mieszaninę strojów i epok. Kontusze i żupany ocierały się o francuskie fraki i bufiaste żaboty, wielkie cylindry filcowe i obwisłe surduty Dyrektoriatu z olbrzymimi klapami i halsztukiem bratały się z kaszkietami pruskich żołdaków. Podgolone czupryny, harcapy<sup>17</sup>, białe faliste peruki, czaple pióra, trójgraniaste kapelusze, rogatywki, kubraki, długie czarne opończe, karabele i szpady, krótkie mieczyki a puginały, żółte i czerwone buty, ałasowe pantofle, palone czarne cholewy i hałaśliwe chodaki – wszystko to razem składało się na strój mieszkańców Warszawy.

Florian skierował konia na Podwale, postanowiwszy zajechać do dalekiej krewnej matki, do pani Dziwanowskiej, wdowy po Michale Dziwanowskim, pułkowniku gwardii królewskiej. Pani Dziwanowska zajmowała małe mieszkanko na trzecim pięterku, utrzymując się wraz z córką ze skromnego kapitaliku, jaki jej z dawnej fortuny pozostał. Przyjazdem Floriana ucieszyła się serdecznie. Porucznik, rozejrzawszy się w ubożuchnych a szczupłych pokoikach, chciał do zajazdu iść pod Zamek i noclegu szukać, atoli pani Dziwanowska słyszeć o tym nie chciała.

– Ani mi się waż despektu takiego czynić – mówiła rezolutnie. – Nie salony u mnie, nie pańskie pokoje, ale kąt wolny się znajdzie. Gdzieżbym pozwolić mogła! Jedniście wy dla mnie na świecie prawie, bo prócz was i bratanka po mężu – wszystko wymarło.

Florian jął się wymawiać. Pani Dziwanowska nie dała mu przyjść do słowa.

- Bez wykrętów. Wiem, żeś zamorskich grzeczności a dworskich ceregieli świadom. Ale ze mną to na nic. Prosta jestem szlachcianka, szczerą a otwartą. Zresztą, mój kochany, ze mną mniejsza, lecz co z moją Zosią, to nie poradzę. Ona by mi tego nigdy nie darowała. Wyszła właśnie na targ przy piątku to i owo zakupić, boć to Wszystkich Świętych mamy w poniedziałek. No, rozgość się, proszę. Patrz, tu jest na lewo jej komnatka. Chłopiec z końmi niech przejdzie na Piekiełko, zaraz kilka kroków stąd, około Piekarskiej, są stajnie, tam pomieszczenie i obrok za kilka dytków znajdzie. Porucznik chciał dziękować.

- Wiem, wiem, co mi chcesz powiedzieć. Przede wszystkim zdrożonyś. Masz tu wodę na misce. Ogarnij się, a ja się zakrzętnę około obiadu. A potem pogadamy.

I nie czekając na odpowiedź Floriana, wyszła z pokoiku, zostawiając go samego.

Porucznik rozejrzał się po izdebce ciekawie. Przedstawiała ona dziwną mieszaninę zamożności i ubóstwa, skromności i zbytku. Sosnowy, ledwie ogładzony stół był okryty kosztowną tkaniną; na czerwono malowanej szafie stał zegar gdańskiej roboty, cyzelowany a błyszczący grubą pozłotą, stołki zwyczajne i ławy dwie nikły pod kilimkami tureckimi. Na ścianach wisiały portrety, a tuż ponad białym zasłanym łóżkiem ołtarzyk srebrny, rozświetlony, z Matką Boską. Pod ołtarzykiem palma, a z nią skrzyżowana, w jaszczur oprawna karabela i dwie króćce.

Florian rozwinął zabrane z domu zawiniątko. Doprowadził odzież do porządku i orzeźwił się wodą. Właśnie kończył się wycierać, gdy drzwi z hałasem się otworzyły i stanęła w nich wiotka postać młodej dziewczyny. Porucznik rzucił się w tył, okrywając się pośpiesznie ręcznikiem, dziewczyna zarumieniła się z lekka, nie wiedząc, co począć. Stali tak chwilę naprzeciw siebie, zaambarasowani, onieśmieleni.

Dziewczyna pierwsza, zapanowała nad sobą i, cofnąwszy się raptownie, znikła za drzwiami, spoza których doszła uszu Floriana przeciągła kaskada serdecznego śmiechu. Porucznik zarzucił na siebie pośpiesznie zwierzchnie ubranie, a spakowawszy zawiniątko i pogładziwszy węża, wyszedł do drugiego pokoju.

Dziewczyna stała obrócona plecami, a oparłszy głowę o szybę okna, dusiła się ze śmiechu.

- Daruje waćpanna, to niefortunne... - zaczął poważnie Florian, lecz nowy wybuch śmiechu dziewczyny przerwał mu wątek myśli.

Porucznik zagryzł wargi, śmiech ten go drażnił.

- Przepraszam - rzekł chmurnie - iż stałem się mimowolnym dystrakcji<sup>18</sup>... powodem!... Odchodzę tymczasem, nie chcąc przeszkadzać jej wesołości... Powrócę później, aby czołobitność moją pani Dzięwanowskiej złożyć za gościnę.

To mówiąc, chwycił za kaszkiet i szedł ku wyjściu. Dziewczyna nagle skoczyła i zastąpiła mu drogę, mierząc go ostrym, przenikliwym spojrzeniem.

- Hola! Waszmość! - rzuciła gwałtownie. - Nie mam honoru znać waćpana, ale skoro przez matkę moją w dom przyjęty zostałeś, suponuję śmieie, że mam zacnego przed sobą kawalera, co niewinnego śmiechu za obrazę mi nie poczyta.

Na te słowa Florian stanął jak wryty. Nie wiedział, czy zgrabność wystowienia bardziej podziwiać, czy urodę dziewczyny.

Próżno szukał słów na odpowiedź, dawna pewność siebie go odbiegła, stał jak żak, mnąc machinalnie kaszkiet w rękę.

Dziewczynie na widok bezradnej miny Floriana znowu na śmiech się zbierało. W tejże chwili weszła pani Dzięwanowska, spojrzała po twarzach młodych ludzi i zagaiła wesoło: - A cóż to na siebie tak spojieracie?... Zośka, toć przecież krewniak nasz, Florek Gotartowski! Dalej, przywitajże się po bożemu, boście nie obcy. Siadaj że za stół, a ty, Zośka, bierz się do zastawy. Widzisz, że zmęczony. Siła drogi przebiegł... a blade to, znużone, ledwo pewno się trzyma.

Zośka w milczeniu jęła stół okrywać serwetą a naczynia z jadłem znosić. Pani Dzięwanowska, pomagając córce, zarzucała Floriana pytaniami o rodzinie, wojnach, a w końcu o przyczynie tak gwałtownej podróży.

Porucznik dawał krótkie odpowiedzi, tając jeno właściwy powód swego przyjazdu.

- Powiadasz wiele - ozwała się nagle pani Dzięwanowska - lecz ani rusz nie mogę zmiarkować, po coś ty do Warszawy zjechał. Może urzędu szukasz, stopnia - wybij sobie to z głowy. Mało to mój bratanek nadreptał, a nakłaniał się Prusakom? Nie wezmą dziś, choćbyś im duszę zaprzedał, oni samych Niemców tysiącami ściągają i starostwa, a po ichniemu „amty”<sup>19</sup> rozdają... Ehe! Przyznaj no się, może ty o hipotece przemyślasz? Świeży grosz ci pachnie? - Gdzie tam! - potrząsnął przecząco głową porucznik. - Do księcia Józefa chciałem, pokłonić się wypada... służyłem pod nim.

- Toć wiem! Ale co wy tam w nim widzicie takiego, dalipan, nie rozumiem.

- Matuchno! Wszak rycerz to a wódz, krew królewska - wtrąciła Zośka. - Et! Bajesz! Twoja taka sama królewska. Szlachcic, i dość. - Wielkiego serca, żołnierz całą duszą! - ozwał się Florian.

- Na dwoje babka wróżyła. Czy to ja nie wiem? Nie Mokronowskam z domu? Nie był to świętej pamięci Michał pułkownikiem?... Wszystko mu daruję, jeno nie onej dworszczyzny a rzucania się. Żołnierka to zawód honorowy, jednej zawdy pani swojej służyć należy. A tenci pułkownikował najpierw Austriakom i aż krew w wojnie z Turkiem przelewał za nich, później ucierał się pod Dubienką, to znów wyleciał w obce kraje i licho wie komu przewodził, a potem krewniakowi memu, Mokronowskiemu, był przydany. No i teraz lata, jak opętany, z Jabłonnej Pod Blachę i z powrotem, a z Prusakami się zadaje. Pewnie i im jaki regiment wymusztruje. Może nieprawda? Florian pokiwał niedowierzająco głową i rzekł:

- Pani dobrodziejko! Ciężkim zarzutem obrzucacie księcia. Ma on niechętnych sobie wielu, i któż ich nie ma? Lecz jam patrzył na niego, jam go widział, gdy na czele oddziału kawalerii szarżował na góry szwedzkie, obsadzone pod Marymontem przez Prusaków... - Za co go potem zdrajcą ogłoszono... - przerwała z impetem pani Dziewanowska. - I gdyby nie dzielność Dąbrowskiego, Warszawa już wtedy byłaby zdobyta.

- Być może! Niemniej klęska nie księcia była winą - upierał się porucznik.

- Ot, ludzkie języki i nic więcej! - zauważyła rezolutnie Zośka.

- A ty znów swoje! Powiadam waćpanu, czasem wytrzymać ciężko z tą dziewczyną. Nie mówię waćpan, małej jesteś jeszcze rangi oficerem, ale co o wojskowych rzeczach pojęcie mieć musisz... lecz ona!... Ubrdało się jej widzieć w księciu bohatera i ani wybić tego z głowy!...

Florian zaczął się zbierać do wyjścia, tłumacząc chęcią udania się na pokoje do księcia. Pani Dziewanowska wstrzymywała go:

- Jakże to waćpan myślisz? Tak, w tej odzieży?... Boż cię przyjmie?... A wieszże, gdzie go znaleźć?

- Droga na końcu języka u żołnierza, a strój, bacząc na podróż, jaką odbyłem, książkę daruje.

- Ja bym mogła wskazać drogę panu porucznikowi - odezwała się niespodzianie Zośka.

- Ty! - podchwyciła pani Dziewanowska. - Co wygadujesz! A znaszże waćpan miasto?

- Ot... ledwie sobie przypominam cokolwiek - odrzekł Florian spoglądając na zarumienioną twarzyczkę pułkownikówny.

- Hm! To niedobrze. Widzisz waćpan, u nas niebezpiecznie wygadać się, że z legionów wracasz... Łatwo by cię mogła spotkać jaka przygoda. Z Prusakami żartów nie ma. Już będę pewniejsza, jak cię ona przeprowadzi...

Zośka wdziała spiesznie kontusik granatowy i kołpaczek i wyszli. Porucznik podał z galanterią ramię pułkownikównie i zawrócił rażno w stronę Zamku.

Gdy doszli do pałacyku pod Zamkiem, Zośka chciała wracać do domu, porucznik ją zatrzymał, wnoskując z zapuszczonych firanek a zasłoniętych okiennic, że księcia w domu nie ma. Jakoż przypuszczenia go nie zawiodły. Pałacyk Pod Blachą był zamknięty. Krążąc dokoła zabudowań, po długich rozpytywaniach dowiedział się od książęcego pacholika, że przed trzema dniami dwór wyjechał do Jabłonnej na wielkie polowanie i że przed świętami pewno nie powróci.

Wiadomość ta wielce zaniepokoiła Floriana. Rozkaz był wyraźny. Jechać co koń wyskoczy, byle jak najprędzej księcia dopaść. Tymczasem porucznik, ufając, że u celu podróży stanął, i tak już sporo czasu był zbałamucił. Jasne czoło Floriana zaszło chmurą.

Zośka jęła wnet nalegać o powód nagłego zasępienia. Porucznik wymawiał się, jak mógł, a wykręcał. Dziewczyna atoli tak zręcznie na niego napadła, że Florian ani się obejrzał, jak wygadał się z całą prawdą. Dopiero gdy pod wpływem jego słów twarzyczka pułkownikówny spoważniała - opamiętał się i chwycił ją gorączkowo za rękę.

- Waćpanno - rzekł z mocą. - Posiadłaś mimo mej woli tajemnicę! Zachowajże ją, przez miły Bóg, bo nie o mnie tu chodzi, lecz o sprawę całego narodu.

- Mości poruczniku - odparła Zośka, a głos jej lekko drżał. - Choćby mnie krajano, słowa nie pisnę! Ale - dodała po cichu z uśmiechem - waść do trzymania tajemnic niespory - dobrze, żeś na Prusaczkę jaką nie trafił.

- Słuszną waćpanna czynisz mi uwagę. Nie żołnierska to rzecz wygadać się tak, jako smyk pierwszy lepszy. Bogiem się świadczę, że nigdy mi się to nie zdarzyło, choć przez... rozmaite osoby nieraz o to i owo byłem nagabywany!... Niech się dzieje co chce! Zdało mi się, że przed tobą zełgać nie godzi mi się'... Wracajmy - rzekł porucznik. - Mnie czas w drogę. Dziś na noc do Jabłonnej muszę. Trzeba. - Trzeba - szepnęła pułkownikówka i zamyśliła się smutnie. Nagle twarz jej zadrgała życiem. - Nie! Waćpan zostanie. - Jak to? - zapytał Florian z żartobliwym zdziwieniem.

- Posłuchaj waćpan! Drogi nie znasz... szczęśliwieś się prześliznął przez straże pruskie... teraz znowu chcesz ryzykować? Gdy ryzyko jest tu niepotrzebne zgoła a niebezpiecznie... - Lecz, mościa panno... toć są słowa próżne. Każdej chwili, minuty straconej beczynnje w Warszawie, może skądinąd drogiej, żałować, jako służbista, muszę! Mam czekać dni kilka na księcia, gdy jest tuż, o parę mil zaledwie? Papiery doręczone muszą być dzisiaj...

- Waćpan jechać nie możesz! - upierała się Zośka. - Nocą straże na rogatce zdwojone. Waćpanu sprawy publicznej lekceważyć nie wolno. I co z tego, że życie swoje narazisz? - Ot! Nie bój się waćpanna. Wyjadę zdrów i zdrów wrócę. Nie taki czart straszny. Zresztą - dorzucił - dwoje nas tylko posiada tajemnicę... więc albo ja, albo waćpanna! Ha! Ha! Pułkownikówna potrzęsnęła energicznie główką.

- Jakbyś wiedział waćpan, że pojedę!... W Jabłonnej mieszka moja chrzestna, pani Grodzicka, mąż jej był dawniej murgrabią u księcia, dziś, chorobą powalony, jest na łaskawym chlebie.

- Oj, oj! Pali się w główce waćpanny!...

- Mówię, że pojedę, to pojedę! - powtarzała z uporem Zośka. - I bądź waszmość pewien, że żaden Prusak nawet palca na mnie nie zakrzywi...

- Ba! Ba! Pewnie. Gdzieżby śmiał! - potakiwał porucznik w żart rozmowę obracając.

Pułkownikówna nie dała się zbić z tropu i napierała na Floriana coraz gwałtowniej.

Po długich ceregielach sprawa stanęła na tym, że porucznik dotąd nie ruszy z Warszawy, dopóki nie zasięgnie wiadomości od Jana Dziewanowskiego, stryjecznego Zośki, znającego Warszawę na wylot, oraz że przed nocą nie wyjedzie, bo choć straże bywają zdwojone, lecz zawsze łatwiej się przemknąć a bodaj przemocą wyrwać.

Pani Dziewanowska przyjęła młodą parę potokiem wymówek, które na wieść o niefortunym zakończeniu wyprawy spotęgowały się jeszcze.

- No, no! Tożeście się zasiedzieli! Ja myślałam, żeście chyba już ze dwa podwieczorki u waszego księcia zjedli.

Florian ucałował rękę Dziewanowskiej i poszedł opatrywać ostrożnie węzełek, a potem zbiegł na dół do chłopca stajennego, nakazując mu, aby konie miał opatrzone i gotowe do drogi. Ruchy te nie uszły baczного oka Zośki. Lecz słowa nie rzekła. Jęła się tylko naprzy krzań matce, aby po Janka Dziewanowskiego

śłać i na wieczór go poprosić. Pani Dziewanowska wzruszyła ramionami na to natarczywe a niespodziewane napieranie się córki, lecz, przypisując to jej kapryśnemu charakterowi, uległa prośbie. Nim atoli zdążyła wyprawić dziewczkę służebną – najniespodziewaniej wszedł Jan Dziewanowski. – O wilku mowa, a wilk tu! – zakrzyknęła pułkownikowa.

– Miałam po ciebie śłać. Zośka mi się napierała ciebie zobaczyć. Bacz, że gościa mamy! Florek Gotartowski... spadł dziś niespodziewanie! Wraca z legionów! – dodała ciszej. – Z legionów! Gdzież on? – przerwał porywczo Jan. – Niech go zobaczę!... Toż gość dopiero!

Wszedł Florian. Młodzi ludzie podali sobie ręce. Spojrzeli sobie wzajem w oczy i ponowili uścisk dłoni. Za Florianem wsunęła się po cichu Zośka. Dostrzegł ją wnet Jan.

– Tuś mi, siostrzyczko! Jakiejż to łaskowości szczególnej mam przypisać, że o mnie pamiętałaś?

– Nic ważnego! – rzekła rezolutnie pułkownikówna. – Gościa mamy – ze stron dalekich. Sądziłam, że rad będziesz niejednego się dowiedzieć, a i on ciekaw, co u nas słyhać – myśmy go pouczyć nie mogły dokładnie.

– Co u nas słyhać? – powtórzył marszcząc brwi Jan i dźwignął desperacko swe olbrzymie ramiona. – I źle, i dobrze. Według „Gazetki” naszej ponoć Prusacy klęskę pod Auerstadt ponieśli nie lada.

– Pod Jeną także! – zauważył porucznik.

– Możeż to być?... Nie błędneż to wieści?...

– Jadę stamtąd. Dwie bitwy stoczono równocześnie, ledwie o cztery godziny drogi od siebie... Siedemdziesiąt chorągwi i trzysta armat zdobyli Francuzi, ścieląc trupem pola... Cesarz w Berlinie.

Dziewanowski aż porwał się z miejsca.

– Pewneż to? W Berlinie jest! Anim śmiał suponować. Dziś właśnie gruchnęła w mieście wiadomość, że wskutek zbliżania się wojny do brzegów Wisły, kasa wymiany biletów skarbowych przeniesioną zostaje do Królewca!

– W imię Ojca i Syna! Wojna tu, do nas, znów! – zawołała pani Dziewanowska. – Pani stryjenko – upominał Jan – mogłoż się stać inaczej?

– Waćpanowi bitewki w głowie, a tu kraj cały znów na nowe zniszczenie skazany.



- Mogłoby się stać inaczej?... Ho! Ho! Prusacy czuj duch! Od dziś wojsko skonsygnowane<sup>20</sup> stoi pod bronią gotowe do wymarszu. Nowe prawo wydane dla tych, którzy by do nieposłuszeństwa pobudzali... sąd wojenny i kula w łeb w dwadzieścia cztery godzin.

- Wojsko skonsygnowane, powiadasz?! - wmieszała się pułkownikówna spoglądając znacząco na Floriana.

- Tak, tak. Pono spodziewają się, może nie bez kozery, dezercji ochotników... Miasto mieli dziś naokół wojskiem obstawić, a waszmość jakżeś zdołał się przedostać do nas? - Prosto na rogatki, pod Wolą. Ani mnie nikt nie zagadnął.

- Dziw-dziw! Szczęśliwie bardzo! Niedalej jak wczoraj dwóch pod Mokotowem schwyłali i rozstrzelali na miejscu. Dowiedzieć się nawet nie można, kto byli zacz.

Florian się zamyślił. Wypieki czerwone wystąpiły na twarz pułkownikówny. Jan Dziewanowski ciągnął dalej:

- W Jabłonnej polowanie miało być wielkie. Köhler się na nie z całym sztabem wybierał - dziś powiadali, że zaniechano wyjazdu. Może im dalej jechać przyjdzie. Ale co tam Köhler i nasza bieda - waść wracasz z szerokiego świata - mówcie nam, bośmy tu jak deskami zabici. Co nasi? Co legiony? Co cesarz?...

Florian ją opowiadać, z początku siląc się na zebranie myśli, lecz powoli zapalił się własnymi słowami i nie pytany snuł obraz napoleońskiej epopei. W czasie opowiadania, którego w skupieniu słuchała pani Dziewanowska, a z czcią Jan - Zośka podniosła się niepostrzeżenie zza stołu, wyszła na chwilę do swej izdebki, przywdziała kontusik i kołpaczek i zniknęła za drzwiami.

Zmierzchać się dobrze zaczynało. Dziewka służebna wniosła zapalone świece, Florian urwał nagle opowiadanie.

- Ot! Mówiłoby się tak i dzień, i noc!... A komu w drogę, temu czas!...

- Co też ty mówisz? Gdzie tobie?

- Służba, pani dobrodziejko!

- Nielepiej po dniu? - zauważył Jan, który rad by rok cały słuchać tych krwawych relacji. - Jak wypadnie. Sądziłem był z łaskawej gościny skorzystać... ale nie mogę.

- Ot czasy! - westchnęła pani Dziewanowska. - Zdrożony, wymizerowany, ledwie się nanogach trzyma! Gdzie tu myśleć o podróży, chyba do

Morfeuszowa<sup>21</sup>!... Skoro jednak tak się upierasz... Zatrzymywać nie śmiem. Córkom żołnierza i żona... Lecz głodnego cię nie puszcę! Zośka! A gdzież ona?...

Pani Dziwanowska obejrzała się - córki nie było. Młodzi ludzie teraz dopiero wspomnieli, że od dłuższego czasu znikła im z oczu. Pułkownikowa skoczyła do dziewczki służebnej i wróciła uspokojona.

- Wyszła niedawno. Pewnie nadejdzie. Już tam coś wymyśliła i trojniaku nam może z gospody przynieś.

Floriana coś tknęło. Podniósł się i wyszedł do sąsiedniej izdebki, gdzie był zostawił tłumoczek. Po chwili wrócił blady i poprosił panią Dziwanowską o światło. Sprawdził po kilkakroć zawartość tłumoczka, oglądał się po izdebce... Szkatułka z papierami zniknęła. Myśl straszna powstała mu w głowie. Schwycił za kaszkiet i, nic nie mówiąc do poruszonej jego dziwnym zachowaniem się pani Dziwanowskiej, pobiegł co tchu do zajazdu, kędy chłopca z końmi ulokował, lecz ani koni, ani pacholika nie było.

Florian był w rozpacz. Wyrzucał sobie lekkomyślność, z jaką zwierzył dziewczynie tajemnicę swego posłannictwa. Cóż powie teraz generałowi? Czym usprawiedliwi tę nierozwagę? Miał dotąd opinię nieposzlakowaną, ufano mu bezgranicznie... Tymczasem tu, wobec tak ważnej ekspedycji, dał się podejść dzierlatce... I co jej w głowie? Zgubić może i siebie, i księcia, i jego razem!

Gdy porucznik powrócił do mieszkania pani Dziewanowskiej z wyrazem bezsilnego rozdrażnienia na twarzy – pani Dziewanowska, a za nią Jan, jęli pytać o przyczynę alteracji<sup>22</sup>. Florian, nie widząc powodu ukrywania przed nimi całej sprawy, którą uważał za straconą, opowiedział urywanym głosem wszystko, jak było. Pani Dziewanowska łzami się zalała.

– Co jej w głowie! O ja nieszczęśliwa! Jedną na świecie miałam! Prawda, zawsze to było zawadiackie, dufające sobie! Czym się jednak mogła spodziewać? W nocy, z pacholikiem... i dokąd jeszcze? Skąd jej przyszło? Skąd jej się to wzięło?!

Dziewanowski chciał pocieszać strapioną matkę, lecz ta smutnie potrząsnęła głową i rzekła:

– Daj spokój, stało się nieszczęście!... Może Matka Przenajświętsza mnie poratuje, sierotę taką opuszczoną! Kto wie? Zośka przytomna dziewczka. Zjeść się w kaszy nie da. A co na koniu, to sprawna niby stary dragon.

Porucznik podczas tego ręce łamał a pięści zaciskał, czując się bezwładnym.

– Panie Florianie – ozwał się poważnie Dziewanowski. – Sam żołnierzem jestem i rozumiem dobrze waścina desperację... chociaż nie wiem, czyja troska większa: czy matki, która życie swej córki widzi na szwank narażonym, czy oficera, co tak niesforne znalazł ordynansa! Tym się, mości poruczniku, pocieszaj, żeś trafił na lepszego zastępcę, niż ci się zdawać może – bo jeżeli ona nie trafido księcia – to byś tam także nie dotarł! Dzielna to dziewczyna i rezolut nie lada!

Pani Dziewanowska jęknęła całą piersią i wyszła do drugiej komnatki w łzach a modlitwie szukać pociechy. Mężczyźni zostali sami. Jan Dziewanowski, po długiej pauzie, pierwszy

przerwał milczenie:

- Panie Florianie! Otrząśnij się waść. Stało się.

- Jadę do Jabłonnej! - wyrzekł z mocą porucznik, wstając z miejsca. Dziewanowski pokręcił głową z nieukontentowaniem.

- Co z tego? Jej nie pomożesz. Sam wpadniesz w ręce Prusaków, a jeżeli i dostaniesz się szczęśliwie, co mu powiesz? Panie Florianie! Rozkazów tajnych jam nieciekaw, lecz mnie w ciemność nie bito. Cesarz z armią się zbliża... Nie wiem ja, co tam książę myśli, lecz to, co waść wiesz, winienesz natychmiast generałowi Wojczyńskiemu przedstawić... U niego zbiera się co dzień wszystko, co w naszej Warszawie godności narodowej nie utraciło. Nie nalegam, lecz pomnij waść, że pewno wiesz o tym; nie o co innego tu idzie, jak o przysposobienie narodu do wielkich wydarzeń... Idziesz waćpan ze mną?! Porucznik się zawahał.

- Żołnierzem jestem. Mam obowiązek wypełniać rozkazy naczelników, a nie działać na własną rękę.

- Zgoda. Niemniej powinienesz ratować zagrożoną sprawę. Pora właśnie! Otrząśnij się, mości poruczniku. Mężczyzną jesteś. Ot - dziewczki szkoda - zginąć marnie może. Hm! Zadałeś jej czegoś chyba, że na krok taki się ważyła!... Rusz się, wasze. Ja tu nakażę służebnej, niech stryjenkę na oku ma. Powrócim niebawem. Zresztą, trzeba zawczasu pomyśleć o innym dla waści i stryjenki schronieniu... bo niechby ona wpadła im w ręce, trafiliby po nitce do kłębka!... Czasu nie trzeba marnować i co żywo łatać, jak można.

Opierającego się jeszcze Floriana ujął Dziewanowski pod ramię i wyprowadził na ulicę, w drodze mu zalecając, aby o całej owej niefortunnej ekspedycji nie wspominał przed zgromadzeniem.

U generała Wojczyńskiego zastano izby dworku na Lesznie, w głębi ogrodu położonego, natłoczone. Dziewanowski z Florianem podszedł wprost do staruszka, gospodarza domu, i przedstawił mu porucznika. Wojczyński uradował się wielce, ramiona mu otworzył i uściskał serdecznie.

- Niebo cię nam zsyła, poruczniku! - zawołał z ukontentowaniem. - Toć my tu siedzimy jak tabaka w rogu, nie wiedząc, w którą stronę pójść. Mości panowie! Porucznik legii włoskiej przybył do nas z Berlina! Imć pan Florian Gotartowski!...

Ruch powstał w izbach. Kto żyw śpieszył do Floriana rękę mu ścisnąć lub przyrzyć mu się przynajmniej. Starszyczna atoli wzięła go między siebie i do zacisznego wprowadziła alkierzyka. Tu posypały się pytania bez końca. Panowie: Michał Kochanowski, Sobolewski, Gutakowski, książę Jabłonowski,

pułkownik Siemianowski, Aleksander Potocki – rej tu wodzili, nad relacjami Floriana czyniąc uwagi.

Porucznik był oszołomiony. Całą siłę woli skupiał, byle wyjść cało z krzyżowego ognia zapytań. Wojczyński dopiero ulitował się nad nim.

– Dosyć, panowie – rzekł. – Wiadomości posiadliśmy, a teraz nie pora szczegółowymi opowieściami się bawić, tym bardziej że imć panu Gotartowskiemu należy się wypoczynek!... Jutro zapowiadam walne zebranie komisji i do rady imć porucznika zapraszam.

Florian odetchnął swobodniej i podążył wnet z Dziewanowskim na Podwale. Był zbity, wyczerpany drogą, zgnębiony wypadkami ostatniego dnia. Pani Dziewanowska nie spała, czekając powrotu niefortunnego gościa. Nie czyniąc wyrzutów, wskazała mu poślanie w komorze, a sama pogрузzyła się w swojej trosce.

Porucznik jak stał, tak legł na poślaniu. Ciężkie myśli trawiły go długo i sen z ociężałych powiek spędzały. Młodość atoli zwyciężyła w końcu i porucznik zapadł w sen głęboki, niespokojny.

Słońce było wysoko, gdy Florian otworzył powieki. Oczy przetarł, myśli zebrał, mary okropne wspominając. Niestety, rzeczywistość przedstawiała mu się niemniej ponuro i smutnie. Podniósł się z wolna z poślania, spojrzął w małe okienko, na jasnym tle którego rysowała się w oddali wysmukła wieżyca kościoła farnego, i zadumał się.

Nagle, spoza nie dość szczelnych drzwi sąsiedniej izby doszedł go gwar przytłumionych głosów, wśród których najwyraźniej rozlegał się srebrny śmiech pułkownikówny. Porucznik drgnął i zaczął nadśłuchiwać. Najwyraźniej ona. Czyżby to snem było! Nie zwlekając, rzucił się do porządkowania odzieży. Jeden i drugi dzbanek wody chlusnął na głowę i nadśłuchiwał, azali ten głos nie był złudzeniem. W końcu poprawił wąsa, pogładził czuprynę i otworzył drzwi.

Cichy śmiech pułkownikówny powitał go w progu. Spojrzął przed się Florian i oniemiał. Przy stole stał smukły mężczyzna w obcisłym, półwojskowym stroju, bawiąc się niedbale srebrną szpicrutą. Rzucił okiem porucznik na twarz nieznanego, twarz jasną, okoloną czar nym, bujnym zarostem, o wysokim czole, równym, klasycznie zarysowanym nosie, i zdało mu się, że śni.

Nieznanomy podniósł swe głębokie, ciemnoniebieskie oczy na Floriana i ozwał się uprzejmie:

– Witam waćpana, mości poruczniku!

– Mości książe! – bąknął pomieszany porucznik.

- Takiegoś do mnie ordynansa wyprawił, że, jak widzisz, stawilem się natychmiast! No, no! Winszuję waszmości, już to nie lada w pannie pułkownikównie masz rzecznika a obrońcę!...

Porucznik jął się sumitować. Księżę przerwał mu dobrotliwie:

- Mości Gotartowski! Wiem o waści, a to, co mi generał wspomina o nim, sam bym dla siebie za chlubę uważał. Wieczorem proszę do mnie na pokoje! Pani pułkownikowej raz jeszcze gratuluję córki, a jeżeli okazja się zdarzy, w drużby się zapraszam.

To mówiąc, księżę uścisnął rękę pani Dziewanowskiej i wyszedł.

Porucznik nie posiadał się z ukontentowania. Na tę scenę wszedł Jan Dziewanowski. Radość była wielka. Zośka musiała opowiadać szczegóły nocnej wyprawy. Jak na rogatce na wieść, że do Jabłonnej jedzie, żegnano ją drwinami a uśmiechami, jak pod Żeraniem zdało się jej, że ktoś za krzakiem się czai, jak wreszcie po nocy dopadła pałacu, do którego jej wpuścić nie chcieli, i jak ją z należnymi względami przyjął księżę...

- A o jakim to pokojowcu wspomniał księżę? - wtrąciła pani Dziewanowska zniecierpliwiona.

Pułkownikówna zawahała się, pobladła, w końcu odrzekła śmiało:

- Wytrzymać nie mogłam!... Wprowadzili mnie do przedsiionka. Tłumaczę się, że przyjeżdżam z ważnym posłaniem z Warszawy... Pachotków było kilku. Ja mówię, oni trącają się i w śmiech!... Ręka mi zadrżała i, niewiele myśląc, bęc w papę najbliższego! Na to wybiegł księżę...

- Palnęłaś go?

- Palnęłam, mateńko!

- To się mój nieboszczyk Michał aż chyba w grobie obrócił ze śmiechu!

- Krew, krew, pani dobrodziejko! - powtarzał porucznik z ukontentowaniem. - A waści gniadosz tego niesie! - zauważyła Zośka.

- Zna służbę! Niechby skrewił, zatłukłbym go pewnie. Prusak jeno, szelma... huzarski! W drodze od Rawy dwóch takich mi omdlało i trzeci bułanek matczyzny.

- Co tam konie! - przerwał rażno Dziewanowski. - Trzeba się stąd czym prędzej wynosić!... Całe miasto już mówi o waćpana przyjeździe! Ani chybi, będą

myszkowali. Generał do mnie przysyłał, ofiarując mu u siebie gościnę. Pani stryjenka zaś może na moją kwaterę pozwoli... uboga, jak u kawalera samotnika takiego.

Zasmucił się porucznik, niesporo mu było się wynosić. Nadąsała się Zośka, zafrasowała pani Dziewanowska. Jan nalegał – trzeba było ustąpić.

Tegoż dnia wieczorem Florian udał się do księcia Józefa Poniatowskiego. Książę przyjął go w pięknym gabinecie, zdobnym w alegoryczne freski, a zastawionym mnóstwem kosztownych cacek. Był zamyślony i posępny. Skinął przyjaźnie porucznikowi i o szczegóły, odnoszące się do armii Napoleona, ostatnich wypadków z włoskiej kampanii, wypytywał... Od czasu do czasu przerywał Florianowi tok opowiadania i gorączkowo mierzył wielkimi krokami gabinet. Porucznik skończył mówić. Książę zamyślił się, a po długim milczeniu zaczął nerwowo:

- A nie myli się twój generał?... Wiem, Dąbrowski to wielki żołnierz i wódz, cenię go więcej, niż mu się zdaje... pomimo że mi był niechętnym!... Dobry patriota i obywatel kraju, lecz czy politycznych wybiegów nie za dobrą poczytuje monetę! Sława Napoleona go olśniła, ja się jej obawiam. Wahałbym się na niej przyszłość moją opierać, a cóż dopiero losy całego kraju składać!... Zapał go unosi!... Tyle krwi przelanej hen na polach Marengo... co, Marengo jedno? Cała Italia nasiąkła krwią legionów i Egipt, i San Domingo!... Nie! Nie ufam ja temu nowemu słońcu... Napoleon jest wielkim politykiem, a myśmy nigdy politykami nie byli... Idzie tu do nas, bo go losy wojny do tego zmuszają... lecz przy zawarciu traktatu wymieni nas za uchwalenie jednego upokorzenia więcej dla nienawistnej mu Anglii! Czyż nie tak? Florian, zachęcony rzuconym pytaniem, a poruszony tak ostrym sądem o ubóstwianym przez niego Napoleonie, wybuchnął nagle:

- Wasza książęca mość! Jam nie statysta, nie mąż, który od lat młodzieńczych przywykł losy narodów ważyć a rozpatrywać. Mówię, co na sercu, z czym lat tyle tułałem się po krajach...

- Zgoda na to – podchwycił żywo książę. – Lecz miejmyż odeń zapewnienie, poręczenie!... Żąda od nas wojska, krwi naszej, niechże się dowiemy za co? Waszmości wyda się takie żądanie frymarkiem<sup>23</sup>! Niestety, na frymarku takim cała mądrość polityczna polega. Dąbrowski ani Wybicki nie rozumieją, że nie my Napoleona, lecz on nas w tej chwili najmocniej potrzebuje... i miast stawiać żądania, proszą, miast dyktować punkty ugody, traktatu, kontentują się krzywdzącymi naszą godność frazesami dumnego zdobywcy!... Nie, poruczniku, ja do tej sprawy przyłożyć ręki nie mogę. Za złe ci nie biorę zapału, z jakim byś chciał Bonapartego bronić. Widzisz w nim wodza prowadzącego armię do zwycięstwa i sławy, a sam żołnierzem jesteś! I ja mam dlań wyrazy uwielbienia,

Jeno gdy o naszej doli myśleć przestają... Zresztą – dodał ze smutkiem – bądź waszmość spokojny... ksiązę Józef Poniatowski nie stanowi narodu. Daj mi pismo Napoleona, jasno wyrażające, czego żąda i co dla nas uczynić się zobowiązuje, a gotowym dziś na skraj świata iść za nim!... A choćby nie dopełnił przyrzeczeń, choćby bolesne z tego wynikły dla nas termina... nikt na nas kamieniem nie rzuci!... Ale... co wam po Poniatowskim?

– Krew nasza, królewska! Chluba rycerstwa! – odparł z zapałem Florian.

Poniatowski uśmiechnął się dobrotliwie i rękę położył na ramieniu porucznika.

– Dziękuję waszmości! Teraz sobie dopiero go przypominam! Byłeś pod Marymontem... Jeno nie wszyscy tak myślą! Znać, żeś prosto z legii przybył... Zapytaj się o mnie tu, na miejscu, w Warszawie. Za służbę pruskiego mnie mają, o konszachty z Austriakiem posądzają... stronią od tej mojej Blachy! Ksiązę uśmiechnął się gorzko.

– Wam, żołnierzom, pilno do rangi i zaszczytów... a przecież są inni, którym beczyność... więcej zdrowia odejmuje niż wam niewywczasny wojenne a kule nieprzyjacielskie!... Długo by o tym można mówić. Wiesz teraz, słyszałeś, oto mój respons<sup>24</sup>. Później... kto wie, jak się wypadki ułożą, teraz jednak ani myśli, niech generał czyni beze mnie. W końcu, mogę się mylić... Więc słuchaj, mości poruczniku, listy generała weź z powrotem, przedstaw je marszałkowi Małachowskiemu, nie tając mej odpowiedzi. Niech je i oni rozważą. Rada u pana Wojczyńskiego może co innego postanowi... – Mam właśnie kwaterę u generała! – wtrącił porucznik.

– A... tak! Już cię znaleźli! Hm, zacne grono, mężowie zasłużeni. Spieszże, mości poruczniku, czasu nie trać. Miło mi było poznać waszmości! Racz generałowi Dąbrowskiemu pozdrowienie moje wyrazić.

Gdy porucznik zjawił się w kilka chwil później u generała Wojczyńskiego, zastał był już walne zebranie komisji rozpoczęte. Radzono właśnie nad wysłaniem imieniem Warszawy poselstwa do Napoleona, żeby swego zwycięskiego pochodzącego nie wstrzymywał, lecz szedł dalej podać rękę wiernemu a uciśnionemu narodowi, który na pierwszą wieść o jego zbliżaniu się wita go całym sercem, jako swego zbawcę i oswobodziciela.

Wejście porucznika wywołało małe zamieszanie – ten i ów spieszył uściskać rękę Gotartowskiego. Wszyscy nań spoglądali jako na żołnierza tej wielkiej a zwycięskiej armii. Gdy się uciszyło, Florian wręczył Stanisławowi Małachowskiemu oddane mu przez księcia listy generała Dąbrowskiego.

Marszałek zaczął je czytać na głos. Cisza zalegała izby dworku.



Dąbrowski przedstawiał księciu, jako cesarz, po długich z nim a posłem Józefem Wybickim debatach, raczył się nakłonić do wkroczenia w granice Polski w trzykroć sto tysięcy wojska. Że zamiarem niewątpliwym jest Napoleona, aby kraj ten wskrzesić i do dawnej świetności powołać, że urzeczywistnienie tego zamiaru spoczywa całkowicie w ręku Polaków, o których wierności a oddaniu chce się cesarz naocznie przekonać, że Wybickiemu oświadczył wręcz, że jeżeli zobaczy, iż Polacy godni są być narodem, będą nim. W końcu Dąbrowski zachęcał do jak najszybszej agitacji i rozpoczęcia przygotowań do zbrojnego powstania. „Niech zobaczy cesarz – pisał Dąbrowski – powstające pułki a dywizje, niechaj ofiarność obywateli w tej stanowczej chwili nie uchyla się przed niczym. Szlachta, mieszczaństwo, lud niechaj stają w szeregach lub niech się sposobią. Lada dzień ruszamy do Poznania. Każda zwłoka, każda minuta w kunktatorstwie strawiona może srogą krzywdę wyrządzić całej ojczyźnie”.

Małachowski skończył czytać. Przez chwilę panowało uroczyste milczenie, aż naraz z piersi kilkudziesięciu zebranych dobył się jeden wielki okrzyk:

– Niech żyje cesarz! Wiwat konfederacja! Mości panowie, do broni!!!

Ściskano się za ręce. Padano sobie w objęcia. Florian był przedmiotem ogólnych owacyj. Starszyzna tymczasem podawała sobie listy generała Dąbrowskiego, zastanawiając się nad każdym słowem a rozbierając je. Zaczęto się skupiać w gromadki a perorować zapalczywie. Tumult się wzrósł coraz większy. Naraz Małachowski głos podniósł. Powaga starego marszałka sejmu wnet górę wzięła.

– Mości panowie! – rzekł. – Chwila urzeczywistnienia najdroższych nam nadziei a od dawna pieszczonych postanowień się zbliża. Pismo generała Dąbrowskiego jest może ziszczeniem tego, co wczoraj jeszcze snem nam się wydało. Nie pora na próżne rozprawy! Do dzieła, mości panowie! Niech on, wielki mocarz, zastanie nas przygotowanych... do pójścia za jego przewodem!... Baczność jeno zalecam. Nie zapominajmy o sługach króla Fryderyka... Ergo<sup>26</sup>, mości panowie, poczynajmy sobie rozważnie, abyśmy zbytkiem zapału tak ważnej nie zepsowali sprawy! Proponuję upoważnić starszyznę do przedsięwzięcia rady nieustającej, przed uchwałami której uchylam głowę. Każdy z nas tutaj wielką ufność pokłada w osobie generała a gospodarza naszego, co dla dobra publicznego ważyć swej głowy i mienia całego się nie zawahał. Niechże on tedy do siebie przybierze tych, których obecność w radzie za potrzebną uważać będzie! Zgoda, mości panowie?! – Zgoda! Zgoda! – wykrzyknęto dookoła.

Za czym generał Wojczyński wystąpił i, wodząc okiem po zebranych, nazwiska co przedniejszych wymieniał, do ubocznej zapraszając izby.

Kiedy starszyzna ustąpiła – gwar znów powstał w izbach a hałas. Brat generała,

pan Ignacy, uwijał się jak mógł i spokojność zalecał; nie na wiele się to zdało. Młodzież szczególnie ochoty wstrzymać nie mogła, a Gotartowskiego zwartym osaczyła kołem, każde jego słowo chciwie chwytając. Nadto Florian spotkał tu był dwóch Jordanów, co mu dalekimi krewnymi byli, i braci Marskich, kolegów z konwiktu pijarów w Piotrkowie, z tego z dawna słynących, że bliźniętami będąc, tak nadzwyczajnie do siebie podobnymi byli, że rodzona matka rozróżnić ich nie mogła. Przy tym Jan Dziewanowski, który wśród młodzi rej wodził, zapoznał Gotartowskiego z kapitanem Wosińskim, Józefem Stadnickim, Sewerynem Fredrą, Wincentym Toedwenem, Jędrzejem Niegolewskim i Piotrem Wasilewskim.

Pan Ignacy Wojczyński tymczasem, widząc wzrastającą ochotę, cichaczem od strony Leszna rozstawił pacholek, aby dali baczenie na nieproszonych gości, a sam z pacholikiem do piwniczki zeszedł i baryłkę miodu wytoczył. A potem, cicho krążąc między zebranymi, miód w szklanice rozlewał, szepcząc co chwila:

- Już to mnie bura od pana brata nie minie, lecz przecież zdrowie wielkiego Napoliona wznieść się godzi!...

Słowa staruszka przyjęto z ukontentowaniem, przepijając po cichu, aby odbywającej się obok radzie dystrakcji nie czynić.

Między młodzieżą wszczął się był żwawy spór o Poniatowskiego. Opowieść Floriana o pochodzeniu listów generała Dąbrowskiego sprawiła silne wrażenie. Większość, przyjazna księciu Józefowi, objawiła wielkie zdziwienie, reszta dosyć ostro występowała przeciwko Poniatowskiemu. Zwłaszcza Hermelaus Jordan gromił zawzięcie księcia.

- Florek - mówił gromko, podnosząc wielkie swe pięści w górę. - I tyżeś to strzymał wszystko a wysłuchał? Paniątko takie, od morza do morza. Jemu Napoliona sądzić!... - Daj pokój! - mitygował Dziewanowski. - Dla słabostki gotów jesteś odsądzić go od wszystkiego!...

- Tak, tak! Żołnierz to nie lada! - potwierdzili inni. Starszy Jordan, któremu szklanica miodu zaszumiała w głowie, upierał się przy swoim.

- Janie, od morza do morza! Więc on, luminarz taki, dzisiaj, kiedy armia idzie i od morza do morza!... Nie!... Sfrancuziały paniczyk, królewiatko rozkapryszone... jąc powiadam, od morza do morza, i koniec!...

- Nie tak gorąco! Nie tak gorąco! - ozwał się surowo Seweryn Fredr. - Czołem przed rzetelną zasługą! Gdyby kraj ten miał więcej takich oficerów, nie potrzebowalibyśmy oglądać waścinego animuszu!

- Ani luterskich wysłuchiwać kazań! - odciął się Jordan.

Fredro porwał się z miejsca.

Kapitan skoczył uspokoić zwaśnionych.

Fredro domagał się zadośćuczynienia. Dziewanowski przekładał zgodę. Pośród zgiełku a hałasu wskoczył na stół tymczasem jowialista wielki a oficer szanowany, imć pan Wosiński, i zakrzyknął zniechęcająco:

- Głupstwo, panowie szlachta!

A gdy zebrani, zaskoczeni tym zawołaniem, uciszyli się nieco, zwłaszcza że od Wosińskiego zwykli byli się nie lada konceptu spodziewać, kapitan zaczął powoli:

- Horret animus<sup>27</sup>, mości panowie, że kiedy jeszcze na odwachu Prusak sobie chodząc einzweidreiduje, a imć Köhler tabakę najspokojniej pociąga, kiedy armia francuska ledwie w berlinkach rozsmakowała, my tu poczynamy sobie de noviter czteroletnie obrady, huczno, buńczuczne, a jak z groźnie zmarszczonych brwi pana Seweryna imci wróżyć się ośmielę, z niemąłą ku wszelakiej strzelaninie a okaleczeniu sympatią! Starszyna radzi, a młodzi w zwadzie szukają dla swej ochoty dywersji. Pierwsze mi nie po myśli, drugie nie po sercu. Co panowie rada postanowią - ich rzecz. Mnie ostał stary obyczaj, że gdy gość w dom nadchodzi, ojcowie spotykają go na progu, a młódź to i przede opłotki naprzeciw wybieży. Tandem - moćpanowie... miast językami świat krajać, oblicza sobie wzajem szcerbić, a kto większy patriota, sobie przymawiać... ruszajmy w drogę! Bez zwłoki, natychmiast, dziś jeszcze do wielkiej armii! Do Francuzów!!...

- Wiwat Wosiński! Do wielkiej armii!!! Do Francuzów!... - odpowiedziano chórem. Wosiński odsapnął nieco i tak rzecz swoją zakończył:

- Moćpanowie! Zbierać się, jak kto może! W pojedynkę, dwójkami, trójkami, już z pół tuzina unikać, aby z dała zminąć dwunastkę z Judaszem... Żadnych oficerów, żadnych naczelników, pieszo, konno, kołowo, z gwintówką czy szerpentyną, karabinkiem czy króciwą, aby naprzód, aby spotkać! Uchodzić nie hurmem, nie w jednej godzinie, bo snadnie mogliby nam Prusacy uroczyste pożegnanie wyprawić, który to objaw amicycji nie każdemu byłby na rękę... Ja dziś ruszam, a gdzie?... Pod Berlin!... - I ja! I ja! - ozwały się zewsząd głosy.

Słowa kapitana Wosińskiego padły niby iskra na mocno nasiarkowane lonty. Głowy młodzieży rozgorzały, zapaliły się serca. Co chwila ochotnika przybywało. Pan Ignacy Wojczyński aż ręce łamał na widok, co się dzieje, chciał tłumaczyć, przekładać, aby bez starszyny na nic się nie ważono. Nie słuchano go nawet.

Zdesperowany poszedł dać znać bratu, co się dzieje. Rada ruszyła do izb. Giełgud jął perswadować, że jeno w karności a jednolitości cała przyszłość, Gutakowski do zaufania w postanowienia starszych skłaniał. Aliści, w gronie samej rady powstało wnet rozdzielenie. Oto ksiądz Woronicz ujął się za młodzieżą. – Niech idą! – mówił.

Próbowano radzić jeszcze, lecz gdy w końcu Małachowski życzliwym się okazał zamiarom Wosińskiego, nie odwozono więcej, zalecając jeno ostrożność wielką a rozważę w przedsięwzięciu.

Starszyzna znów ustąpiła do izby narad. Generał Wojczyński pogroził jeno bratu Ignacemu za... miód, a Floriana na bok odciągnął.

– A waszmość, poruczniku? – zagadnął żywo. – Zostaniesz z nami?!... Czy... – Wracać muszę, generale, sprawę zdać...

– Spodziewałem się takiej odpowiedzi... Jedź! Pisma wnet ci wystosujem! Ostrowski stary niechętny wielce wszystkiemu, ale mniejsza. Wspominać nie ma co, sam zmieni zdanie. Resztę widziałeś...

Gotartowski zwierzył się Dziewanowskiemu z czekającej go podróży. Pan Jan, któremu także uśmiechała się wycieczka naprzeciw Francuzów, ofiarował się mu towarzyszyć. Florian ucieszył się serdecznie z niespodziewanego kompana. Na to zbliżyli się Jordanowie, a i kapitan Wosiński, którzy, dowiedziawszy się, że porucznik rusza zaraz w drogę, oświadczyli się iść z nim także.

Zaczęto wnet układać plan wyprawy. Ciekawi skupili się dokoła, ten i ów napraszał się iść razem, osobliwie młody a wąły Stanisław Gorajski spokoju im nie dawał. Wosiński atoli oparł się temu stanowczo.

– Czterech już nadto! Zastanówcie się! Chcecie, by was pierwszy lepszy patrol na bigos posiekał. Ruszajcie swoim dworem, a my swoim!

Za czym uradzono, że o północy stawią się wszyscy u generała i stąd ruszą bocznymi ulicami ku Raszynowi pieszo, a dalej przedzierać się będą, jak się uda... Każdy miał w broń się zaopatrzyć co poręczniejszą, bez karabinów i widoczniejszych mantelzaków, aby wyglądu zbrojnego nie przybierać. Teraz zaś każdy miał co ducha śpieszyć i do drogi się gotować. Florian odciągał Dziewanowskiego na stronę. Projekt wyprawy pieszo nie wydawał mu się szczęśliwym. Czasu zmitręży wiele. A tu pacholik konie musiał już pewno z Jabłonnej przyprowadzić. Dziewanowski więc mógłby jechać z nim – stajenny zaś wróciłby do Gotartowic. Pan Jan jął odwozić Floriana od tego zamiaru. Konno wyjeżdżać z Warszawy, to znaczyło prawie kłaść dobrowolnie głowę pod miecz. W rezultacie nie ma mowy, aby piechotą wędrować pod Berlin. W drodze

sposób się znajdzie.

Gotartowski ustąpił i jeno z pożegnaniem do pani Dziewanowskiej iść się napierał. A ponieważ pan Jan i tak musiał do swoich izdebek wstąpić, przeto poszli razem.

Na pierwsze słowa Floriana o czekającej go znów podróży pani Dziewanowska aż ręce załamała.

- Co waszeci w głowie! Chyba licho cię jakieś napadło. Ledwie pół dnia minęło... znów w inną stronę świata! Et! Aż mnie złość ogarnia. Wczoraj spadł jak z nieba, narobił zamieszania, aż człek musiał z rupieciami wszystkimi się przenosić... i masz ci teraz nowinę!

- Pani pułkownikowo dobrodziejko - odrzekł smutnie porucznik. - Bogiem się świadczę, że z wami wolałbym zostać... a sercem pewnie że zostanę...

- Farmazońskie wykręty! Już to waćpan słowem zawrócić z miejsca potrafisz, nie darmoś pół świata schodził...

- Pani stryjenko - wmieszał się pan Jan - nie winujcie. Służba go do nas przyprowadziła, służba zabiera... Co więcej, i ja z imć panem Florianem muszę.

- Janek? Ty?! A ty gdzieżeś znów potrzebny?!...

- Do Francuzów, pani stryjenko.

Tu Dziewanowski jął tłumaczyć wszystko pułkownikowej, zapewniając uroczyście, że tylko patrzeć, jak z Napoleonem powróci.

Pani Dziewanowskiej łzy się zakręciły w oczach.

- Oj! Wrócisz ty, niebożę! Znam ja te wasze żołnierskie „wrócę” ... Długo było cicho a spokojnie. Znów zawierucha... a bodaj ich tam i tego Napoliona!... Już nikogo teraz na świecie nie będziemy miały! Zośka?! Słyszysz? Nikogo!

Zośka nic nie odpowiedziała. Oczy spuściła, zęby zacisnęła kurczowo, a wargi jeno jej drżały. Dziewanowski zaczął uspokajać pułkownikową. Florian zbliżył się tymczasem do Zośki i zagadnął z cicha:

- I za co waćpanna gniewasz się a boczysz na mnie? Cóżem zawinił, że już i wejrzenia pocziwego zdajesz się mi skąpić? Z ócz pułkownikówny wytrystył ogień.

- A cóż waćpana to może obchodzić?... Przyjechałeś... odjeżdżasz!... I dobrze! Czy to waszeci kto tu... wiąże?!

- Prawda! - odrzekł drżącym głosem porucznik. - Ową podróż waćpanny do Jabłonnej nie samej tylko fantazji śmiałem przypisywać... A na ciężką drogę choć dobre słowo... spodziewałem się otrzymać...

- Dobre słowo! Dobre słowo! - odparła z przekąsem Zośka targając rąbek fartuszka. - Pewnie że to waszmości wystarczy!... Florian pokraśniał i do ręki pani Dziewanowskiej przypadł.

- Pani pułkownikowo dobrodziejko! Córki mi waszej nie odmawiajcie!... Wieki bym się stąd nie ruszył... obowiązek niewoli. Da Bóg, powrócę wkrótce, a już was nie opuszczę. Synem waszym pragnę...

Pani Dziewanowska potrząsnęła smutnie głową.

- Mój chłopcze! Dobrze ci z oczu patrzy, ale w taki czas niespokojny, kto wie, co się stać może!

- Skądże bo panią stryjenkę ogarniają takie smutne medytacje! - wtrącił pan Jan. - Toż nie rok i nie dwa!... Miesiąc nie minie, a porucznik stawi się, jako należy, w pełnym mundurze. - Nie! Nie! - upierała się pułkownikowa. - Żadnych przyrzeczeń, żadnych przysiąg! Zośka, słyszysz! Ani jam waćpanu krzywa, ani zamysłów żadnych nie mam. Kto wie, co się stać może? Tak, tak! Od tego już nie odstąpię ani kroku. Jedź waćpan z Bogiem... wracaj rychło... a jak wrócisz, to i rzecz się ułoży.

Porucznik chciał dziękować. Pani Dziewanowska nie dała mu przyjść do słowa.

- Nie ma czego ani za co! Żadnych obietnic! A teraz proszę waszmości, byś wolę krewnej szanował. Dostyc tego! Macie jechać, niechże wam posiłek zgotuję jaki. Trudno to będzie, bo w tym kramie i nieładzie nie wiadomo, gdzie czego szukać. Ale na głodnego puścić was nie mogę.

Pułkownikowa zakrzętnęła się żywo. Dziewanowski opatrywał broń a sposobił sobie zawiniątko. Florian, ścigany co chwila baczny okiem pani Dziewanowskiej, bał się słowa przemówić do Zośki, która siedziała chmurna i nadąsana.

Przy kolacji rozmowa się nie wiązała. Pan Jan był czegoś zamyślony, pułkownikowa jakby łyzy połykała. Florian siedział zapatrzony w postać Zośki. Ta ostatnia milczała zawzięcie. Pan Jan pierwszy ruszył z miejsca i do odejścia się zbierał. Pułkownikowa żegnała się z nim po kilkakroć a serdecznie. Zośka rzuciła mu się na szyję i szeptała coś długo do ucha. Florian pamięci pani

Dziewanowskiej polecił swego pacholika, ucałował jej ręce, chciał następnie schylić się do ręki Zośki, lecz ta w tył odskoczyła i pożegnała go ledwie spojrzeniem. Porucznikowi ścisnęło się serce: nie takiego się spodziewał rozstania. Chciał coś rzec jeszcze, lecz pan Jan pociągnął go za sobą... i wyszli, przeprowadzeni do sieni przez pułkownikową.

U generała Wojczyńskiego w izbach zastano tylko dwóch Jordanów i pana Ignacego Wojczyńskiego. Zebranie już się było rozeszło. Rada tylko nieustająca pracowała jeszcze. Wkrótce wyszedł generał i ucieszył się wielce z wiadomości, że Florian znalazł towarzyszków. – Teraz – mówił – pewny jestem, że mi nie przepadniesz, bo jeżeli Dziewanowski cię nie wesprze, to Wosiński sianem wykręci. Masz tu, poruczniku, listy dla generała... a tu weź zasiłek, który w drodze przydać ci się może.

Florian wymawiał się od przyjęcia, tłumacząc się, że od matki dostał fundusik. Pan Wojczyński zgromił go:

– Ot mi racja dopiero! Małós się to, poruczniku, nadreptał po Włoszech bez butów? Ani to żadna darowizna, ani ofiara. Pięćdziesiąt czerwonych złotych wydzieliła ci rada na ekspensa<sup>31</sup>. Bierz, nic nie pytaj, bo każdy grosz ci się przyda, znam ja to wasze oficerstwo włoskie! Blizn na ciele jak dziur w rzeszocie, ordery, krzyże, sława, rozkazyienne; a w kieszeni tyńf złamany tygodniami nie postoi. Ale i na was czas przyjdzie, że nagrodę należną odbierzecie! Nie było rady. Schował był porucznik zasiłek, a że we drzwiach ukazał się kapitan Wosiński, nie zwlekając, jął żegnać się z generałem, który go uściskał serdecznie a krzyżem pobłogosławił.

Wosiński zlustrował towarzyszków, przestrzegł Jordanów i Dziewanowskiego, aby dragońskich pałaszy z rąk nie wypuszczali dla uniknięcia brząkania, kazał opatrzyć pistolety i dał znak do ruszenia w drogę.



Jeszcze nie skrzepty potoki krwi pruskiej pod Jeną i Auerstadtem, gdy generał Kalkreuth podniósł klęskę pod Greussen, a w trzy dni później poddał się wraz z piętnastotysięczną armią.

Marszałek Davout zajął Lipsk, Bernadotte zniósł pod Hallą księcia Wirtemberskiego, załoga Szpandawy złożyła broń przed Lannes'em, księżę Hohenlohe przed Muratem pod Preslau; Szczecin, Kistrzyń, Lubeka, Magdeburg kapitulowały po kolei, oddając w ręce Francuzów tysiące dobrze wyćwiczonego żołnierza, zapasy amunicji, setki armat, niezdobyte mury forteczne. Nigdzie żadnego oporu, żadnej obrony dłuższej. Jeden zewłok bohaterskiego księcia Ludwika Ferdynanda pod Salą, a potem już tylko białe chorągwie parlamentarzy, upokarzające traktaty i jeńcy a kontrybucje.

Król Fryderyk ze szczątkami armii schronił się do Królewca i znów rozpoczął układy. Napoleon tymczasem Sasów obdarzył wolnością, garstkę szwedzkiej odsieczy puścił do domu, szukając według swego zwyczaju sprzymierzeńców pośród nieprzyjaciół.

Burza zdawała się cichnąć. Aż naraz, w ślad za tłumami zbiegów pruskich, ciągnących ku Wiśle i Warcie, ruszyły dalej zwycięskie orły pięcioma wielkimi kolumnami, prowadzonymi przez marszałków: Augereau, Davout, Lannes'a, Murata i brata cesarskiego, Hieronima. Wejście armii francuskiej do ziemi, Prusami Nowowschodnimi zwanej, poprzedzili liczni wysłańcy generała Dąbrowskiego i Józefa Wybickiego, a przed nimi jeszcze głuche wieści, pełne nadziei, mar słodkich i ułud zwodniczych. I zanim placówki francuskie a rekonesanse zdążyły sięgnąć granic Wielkopolski – już kraj cały przed nimi wrzał a sposobił się do czekających go wypadków. Imię Napoleona rozbrzmiewało coraz silniej, budząc ludność z odrętwienia. Florian z towarzyszami swymi zdołał po czterodniowej podróży przedostać się do Poznania, uniknąwszy szczęśliwie pruskich pikiet i spotkania z drobnymi oddziałami wojska, które z pośpiechem ścigało ze wszech stron ku Warszawie. Żałował był z początku Gotartowski, iż nie poszedł za namową Wincentego Jordana i do Gotartowic na nocleg nie zboczył – atoli, przekonawszy się w drodze z poszeptów a gawęd, że Francuzi nie żartem już się zbliżają, rad był, że do bałamuctwa się nie skłonił.

W Poznaniu trafiono właśnie na chwilę wejścia pierwszych dwóch pułków strzelców francuskich. Zamęt i ruch w całym mieście panował z tego powodu



nie do opisania. Ludność wyległa na ulice, witając z zapałem przybywających oswobodzicieli. Formalne bitwy staczano o prawo zdobycia na kwatery jednego żołnierza. Okrzyki gromkie, wiwatowe salwy, nabożeństwa dziękczynne, odezwy i proklamacje Wybickiego, wici na pospolite ruszenie sędziwego wojewody Radziwińskiego, krotochwilne wierszyki, żegnające Prusaków, zebrania a uczty, gromadzenie się ochotników, powoływanie deputacyj do Napoleona, rugowanie pozostałych sług króla Fryderyka – wszystko to wzburzyło spokojne jeszcze niedawno umysły, a cichemu Poznaniowi nadało charakter rewolucyjnego grodu.

Uniesienie było powszechne, gorączka opanowała wszystkich. Tu układano projekt konfederacji pod Napoleonem, ówdzie organizowano kasę centralną ofiar obywatelskich, gdzie indziej z dawnych wojskowych formowano zakłady pułków, rozpisywano listy do przedniejszych ziemian, obmyślano uroczyste przyjęcia dla przyszłego zbawcy narodu. I w jednej chwili rzucono się do pracy gwałtownej, odrywając się chyba dla powitania nowego regimentu francuskiego lub okazania swej serdecznej gościnności „bratnim zastępom”. Pracowano dzień i noc, bez wytchnienia, z morzem nadziei i bezgranicznej ufności w gwiazdę i potęgę wielkiego zdobywcy. Szyto mundury, czapraki i kaszkiety, porządkowano zapylone kulbaki, polerowano broń, gromadzono zapasy rozmaitych prowiantów. Kuźnie zamieniały się w ludwisarnie, krawieckie warsztaty – w szwalnie pułkowe, opuszczone szopy – w magazyny i składy.

Dwory i dworki, nowomodne pałace a zmurszałe zamczyska, kamienice, czworaki i chaty, lepianki i najuboższe izdebki uczestniczyły w ruchu powszechnym a trosce. Żony sposobiły mężom odzież, matki ekwipowały synów, młode dziewczęta ślęczały nad haftami sztandarów i „obszlegów”.

Porucznik Gotartowski, ulokowawszy się z towarzyszami swymi w gospodzie na Starym Rynku, wyszedł był natychmiast szukać generała Dąbrowskiego, który według zapewnień właściciela gospody bawił od dni kilku w Poznaniu. Jakoż, po krótkich dopytywaniach, dowiedział się, iż generał stoi w domu Mielżyńskich.

Dąbrowski aż rękoma strzepnął z ukontentowania na widok porucznika.

– Jesteś nareszcie! Myślałem, żeś przepadł! Jakże? Masz odpowiedź? Papiery?!...

Gotartowski opowiedział pokrótce szczegóły bytności swej u księcia Józefa i generała Wojczyńskiego, a w końcu doręczył Dąbrowskiemu listy rady. Generał przebiegł szybko podane mu pisma.

– Dobrze! – ozwał się z zadowoleniem. – Bardzo dobrze zrobił, żeś trafił do Wojczyńskiego. Po Poniatowskim wiele sobie nie obiecywałem. Wyższa polityka świta mu w głowie. Zapomniał widocznie, iż przed ośmiu laty z górą

próbowałem już tych dróg! Zarozumiałec! W takim Berlinie pół roku blisko kołatałem. Mniejsza o niego. Wojna bez jednego żołnierza się odbędzie. W porę mi przybywasz, bo tu roboty masa, a ludzi brak.

Florian wspomniał o towarzyszach swoich, nadmieniając, iż, o ile mu wiadomo, młodzież ciągnie ze wszystkich stron.

- Wybornie! - podchwycił z ogniem Dąbrowski. - Dawaj mi tu tych zuchów! Takich właśnie nam potrzeba. Nie konsyliarzy, nie polityków, nie doradców - lecz żołnierzy! Właśnie oto generał Milhaud potrzebuje na gwałt dobrych dragomanów-oficerów... Otóż zbierz tych twoich kompanów i przychodź... Twojemu wyborowi ufam.

Gotartowski powrócił spiesznie do gospody zdać sprawę towarzyszom z audiencji u Dąbrowskiego. Zastał ich gwarzących wesoło wśród ciżby francuskich żołnierzy i tłumu szlachty i mieszczan. Gęsto rozstawione butle i gąsiory świadczyły, że podejmowano tu armię Napoleona suto a gościnnie. Żołnierze zapijali ze smakiem miód, węgryna, zmiatali z talerzy a misek obficie zastawione jadło, pokrzykując wesoło. Szlachta i mieszczenie, nie rozumiejąc zgoła języka francuskiego, rozprawiali między sobą, spełniając co chwila liczne toasty i zdrowia. W całej gospodzie jeden Dziewanowski znał dobrze język francuski, jego też obydwie strony powołały na tłumacza swych uczuć i wynurzeń. Co chwila ktoś zwracał się do pana Jana z żądaniem przekładu, co go rzetelnego nabawiało nieraz kłopotu.

- Janek, od morza do morza - wołał swym grubym głosem Hermelaus Jordan - powiedzże im, że choć mi diablo kuso wyglądają, ale sprawne szelmy, kiedy takie jatki Prusakom wyprawili!

- Czekajcie, moćpanowie! - krzyczał Wosiński. - Do porządku dziennego! Imć pana Dziewanowskiego obliguję, aby tym czarnym łbom wytłumaczył, że który kroplę miodu zostawi w szklanicy, temu się ją za kołnierz wyleje!...

- Za pozwoleniem - złościł się młodszy Jordan. - Niechże nareszcie się dowiemy, spod czyjej komendy!...

- Veto! - ryczał w kącie opasy szlachcic.

- Panie! - napierał się stary kapral francuski. - Więc nie macie czerwonego wina wcale? A może sałata jest?

- Salade! Salade! - podtrzymywali chórem żołnierze.

- Janku, zmiłuj się! - błagał Hermelaus. - Gadajże nam, czego się tak drą? - Proszą o sałatę! - objaśnił Dziewanowski.

- Hej, gospodarzu! Sałaty! Podać sałatę... - ozwały się dookoła głosy.

- Veto! - huczał ciągle ten sam bas. - Nie ma zgody! Nie ma sałaty!!...

Tumult się wzmagał. Cała izba wołała o sałatę. Sałata stała się nagle najważniejszą kwestią, najpilniejszą do załatwienia sprawą. Wyciągnięto z kąta właściciela gospody, zaklinając go, aby upragnionej sałaty spod ziemi bodaj wydostał. Zafrasował się gospodarz, lecz przyrzekł najsolennie zarządzić poszukiwania w całym mieście.

Zapewnienie to uciszyło na chwilę zebranych. Naraz rozległ się piskliwy głos spod pieca: - Mówiłem, panie dziu... także boćwinkarze i nic więcej! Oczy obecnych Polaków w jednej chwili zwróciły się w stronę, skąd ich był głos doszedł. Pod piecem w ciemnym żupaniku siedział pękaty szlachetka z małym, zadartym noskiem, spod którego dwie olbrzymie miotły wąsów sterczały groźnie, zasłaniając okrągłą, pyzată twarz. Hermelaus porwał się z miejsca. - Cóż to acan, od morza do morza?!... Komuż to mówić... od boćwinkarzy?! Szlachetka poczerwieniał i odparł buńczucznie:

- Komuż by?! Nie mówię... jeno powiadam, panie dziu,.. mieliśmy kartoflarzy, teraz przy szli boćwinkarze... i tyle!!...

- Co to? Kto to?!... - zakrzyknięto w izbie.

- Silentium! - ozwał się ktoś ze szlachty.

- Cofnij acan obelżywe słowo! - wołał Hermelaus.

- Niech cofnie! Musi cofnąć...

- Veto!

- Panowie - upominał Dziewanowski widząc, że się na awanturę zanoszą. - Boćwinkarze, powiadam, panie dziu!

- Hola! Coś acan za jeden?! Niech wiem, zanim odeń porachunku zażądam, od morza do morza...

- A przecież to imć pan Bonawentura Zając-Zajączkowski ze Zbyrek! - ujął się ktoś z tłumu.

- Otóż właśnie w tym sęk! - wmieszał się kapitan Wosiński. - Alteracja imć pana Zająca nikomu dziwną być nie powinna. Wszak ci franci chcą mu spustoszenie uczynić w ulubionym specjale! Słuszna rzecz, gdy sałata w zającu

znajduje obrońcę.

Ogólny wybuch śmiechu rozproszył w jednej chwili nadciągające chmury. Pękaty szlachetka przycupnął znów pod piecem, rad w duszy, że zajścia uniknął. Jeden Hermelaus był chmurny. Nie po myśli mu było wmieszanie się Wosińskiego. Nauczyłby szaraka rozumu! Francuzi poglądali na tę scenę w niemym osłupieniu, na próżno starając się z ruchów i wyrazów twarzy wyrozumieć, o co rzecz idzie. Zwrócili się do Dziewanowskiego, lecz ten ich zbył półzartem i zwrócił się do Gotartowskiego, który zdołał nareszcie docisnąć się do stołu. – Przez miły Bóg! – zaczął gorączkowo Florian. – Porzućcie tę całą kompanię. Gotowiście sobie głowy zaproszyć, a tu dziś mamy się stawić u generała!

– Robię, co mogę. Widzisz sam, poruczniku, co się dzieje. Obawiam się o starszego Jordana. Wincenty pomiarkowany zawsze, o Wosińskiego mniejsza, ten ma głowę z kamienia... lecz Hermelausowi już zaczmerzało.

– Nie ma co! Wychodźmy stąd zaraz!... Wyciągnij waszmość tylko Hermelausa.

Niełatwa to atoli była rzecz, bo starszy Jordan, gdy mu się sprawa o „boćwinkarzy” nie powiodła, zawrócił był już z miejsca w przeciwległą stronę izby w kąt, pod oknem, skąd co chwila dobywało się basowe veto. I nim zdołał ruszyć za nim Dziewanowski, Hermelaus zmierzył ostro wzrokiem opastego szlachcica, raczącego się piwem grzanym.

– Jordan jestem! – rzucił groźnie Hermelaus macając głownię pałasza.

Szlachcic podniósł zwolna głowę, dobył tabakierki, pociągnął jeden i drugi niuch tabaki i odrzekł obojętnie: – Jordan?... Hm! Sroga rzeka, sławna, katolicka, a jakże!

– Waść sobie dworujesz! Powtarzam... Hermelaus Jordan jestem, do milion diabłów, od morza do morza!...

– He! Menelaus!... Piękny ród, starożytny.

Imć Hermelaus posiniał z gniewu. Oczy mu na wierzch wyszły, olbrzymie kiście rąk zacisnęły się w pięści i spadły z impetem na stół, przy którym siedział flegmatyczny szlachcic... – Acan ważysz się przymawiać?!... Acan z pocziwego imienia Jordanów żarciki sobie stroisz?!...

– Gdzieżbym śmiał!... Nie widzisz waćpan, że jakieś pięścią walnął, to cię nawet mój kufel uszanował!...

- Dosyć! Milcz, capie jeden, od morza do morza!

- Aż taki wielki? Hm! Tandem... pistolety, karabele, pałasze... wiwatówki?... Wybieraj!

Byle nie harmaty, bo mi ostatnią wiwatówkę landrat łońskiego roku ze stodoły wyprowadził!

- Bizuna na trefnisiów!

- Chcesz się acan biczować?

Hermelaus skoczył ku przeciwnikowi, chwycił go za bary, lecz ten nagle poczerwieniał, otrząsnął się i pchnął Jordana tak silnie, że ten upadł pomiędzy zwarte koło skupiających się widzów.

Hermelaus porwał się do pałasza i jął się przedzierać do szlachcica, lecz w tejże chwili nadbiegli Wosiński z Dzewanowskim i wstrzymali go, gdy Wincenty Jordan, ujmując się za bratem, przypadł do stołu w kącie.

- Mości panie! Co znaczy napaść taka?!... Chcesz, aby cię tu na szablach rozniesiono?!

- Powoli, powoli, zacny kawalerze! Bacz, kto zaczynał! Jam tu waścinego kamrata nie prosił!...

- Puśćcie mnie! - ryczał z głębi izby Hermelaus. - Niech mu uszy poobcinam!

Florian, zoczywszy, że znów z drugim Jordanem zanosi się na awanturę, odciągnął Wincentego za ramię.

- Mnie zostaw.

Za czym, zwracając się do szlachcica, rzekł:

- Z kimże mam honor przede wszystkim?

- O to właśnie chciałem zapytać.

Gotartowski zagryzł wargi, lecz odparł, siląc się na spokój:

- Florian Gotartowski, porucznik legii włoskiej!

- Syn... Józ... Józefa?! - rzucił pośpiesznie szlachcic.

- Tak! Lecz z kimże?! - tu urwał nagle, bo opaste ciało nieznanego zawisło

nagle mu na szyi.

- Patrzaj, Florek! A niechże ci się napatrzę!!! Żem cię nie poznał! Kubek w kubek do ojca podobny!... Dajże gęby... Ano jeszcze!... Za przepadłego cię mieli!... Siadajże no przy mnie! Gospodarzu!... Miodu!... Poczciwy Józef... ot, serce się kraje go wspominać! A i piwa grzanego!

Gotartowski, zaskoczony zniechęca, ani się obejrzał jak szarpnięty przez szlachcica siedział tuż przy nim na ławie.

- Daruj waszmość, lecz nie wiem dotąd...

- Florek!... Nie wiesz?! Bonawentura Głuski z Jastkowa!...

- Głuski?!... - powtórzył przeciągle porucznik, na próżno siląc się przypomnieć, gdzie to nazwisko słyszał. Szlachcic się nagle skonfundował.

- Cóż to ciągniesz tak moje nazwisko?... Głuski, powiadam - to i dosyć! Z ojcem twoim w konfederacji byłem!... Hę, hę! Dawne czasy! Veto - i koniec. Poznałeś mnie?... Jeszcze? Z niebaś spadł?!... Toć brat twój, Staszek, ma się ku mojej Marysi! No - teraz?!

Tu dopiero wspomniał porucznik, iż matka mu powiadała o mających się odbyć zrękowinach Staszka z panną Marianną Głuską, córką pośła ostrowskiego, dawnego towarzysza broni ojca. Ale imć pan Bonawentura nie dał mu przyjść do słowa.

- Owóż właśnie wracam spod Kruszwicy, gdzie do krewnych Przybyszewskich jeździł windykować jakąś tam sumkę, zawadziłem o Poznań, ot i masz ci paradę... jakiś taki tu do mnie z pięściami... „Jordan - mówi - jestem!” Daj go katu! Co mu młokosowi!... Pijże piwo, bo ostygnie, a miodu, szelma, nie przynosi!... Chwyta mnie za bary i trzęsie! Dzięki Bogu, jeszcze na stare lata człek krzepę ma!...

- To dzielny kawaler - głowa tylko słaba! - tłumaczył porucznik.

- Ba! Ba!... Dzielność bez głowy licha warta!... Jużci nic mi tam do niego! Mości Jordanie, prosimy, jeśli łaska, na kapeczkę!...

Hermelaus, który był się już z impetu pierwszego otrząsnął, spojrzał groźnie na pana Głuskiego - ten nie dał się zbić z tropu.

- Sierdzisz się waszeć? Veto! Nie odymaj się tak, a chodź. Morowość ci z oczu bije. Kapeczka przednia!

Hermelaus próbował się dąsać, lecz Wosiński z Dziewanowskim umitygowali go do reszty. Podczas imć pan Bonawentura się rozochocił i, na szklanice zakrzyknąwszy, wszystkich towarzyszków Floriana do kompanii zaprosił.

- Co wam tam - mówił - po Francuzach! Kto by się z nimi dogadał!... Pali was cała wątroba, proch pachnie... będziecie go mieli!... My sobie w Lubelskiem siedzimy cicho, przycupnąwszy pod Austriakiem, i tak dychamy. Ba! Nie te czasy, nie dawne! Imć pan Kazimierz Pułaski w srogiej Hameryce Kolumbowej wojuje!... Komu to tu świat durzyć! - Napoleon... - wtrącił Dziewanowski.

- Co Napolion! Veto! Rozumiesz waszmość?!... Posłem jestem... a sejm nasz jest jeno limitowany<sup>35</sup>! Wiem, wiem, pilno wam! Pilno! Hę, hę! Toteż Głuski żadnego z was by na zięcia nie wziął.

- Aha! Imć pan córeczki ma na wydaniu! - podchwycił żartobliwie Jordan.

- Jakbyś wiedział! Marysię i Jankę!... Janka na Trzy Króle będzie żoną Tadeusza Zabielskiego, sekretarza rządu cyrkularnego lubelskiego! Marysia zmówiona bratu porucznika, Staszкови! Dobrze chłopaki i jeden, i drugi. Co ważniejsze, stateczni - jeden osiadzie na roli w Jastkowie, drugi rychło promocję na burmistrza do Ostrowa otrzyma... no i człek z czystym sumieniem a spokojem o los dziewczyn będzie oczy mógł zamknąć. A to wiele! Oczywiście, cenię ja wielce ducha rycerskiego i żołnierskie rzemiosło, ale co tu, samolubem być wolałem. Licha mi z tego, że będę miał jakiego oficera czy pułkownika za zięcia! On w takich czasach niespokojnych to w polu, to w lesie, a jeżeli w domu, to na pewno razem z kontuzją albo z postrzałem.

Imć pan Głuski rozgadał się na dobre. Młodzi słuchali go z zaciekawieniem, popijając miód. Zaciągnęło się na długą gawędę. Gotartowski wspomniał na generała i jął odciągać kompanów, żegnając się z panem Bonawenturą - ten namawiał do pozostania.

- Zostańcie jeszcze! Przecież ten generał wasz nie ucieknie. Cale was nie rozumiem. Ciurami przecież nie jesteście ani pachotkami... Nieprzyjaciel wam na karku nie siedzi, nie ma do czego śpieszyć!...

- Subordynacja, karność! - ozwał się Wosiński.

- Chcesz waść powiedzieć: nowa moda!... Et, dawniej tego nie bywało, a mieliśmy i Kirholmy, i Grunwaldy! Cóż, nalegać nie śmiem! Szkoda, bo mi w drogę się wybierać niesporo. Czasy niespokojne, a grosz się wiezie. Wpadnijcież - jeśli łaska, do oberży - bez mała dzień cały kiwam się tu w kącie nad piwem...! Ale! Florek! Toć bym przepomniał, że właśnie do Gotartowic ciągnąć myślę! Niby to niekoniecznie po drodze, lecz skoro się wybrałem!... Bywajcie mi

tedy...

Florian z towarzyszami udał się wprost do generała Dąbrowskiego. Generał przyjął młodych ludzi serdecznie, rzucił okiem doświadczonego wodza na muskularne postacie Jordanów, marsową twarz Dziewanowskiego, zamienił słów kilka z kapitanem Wosińskim i jął szeptać ze stojącym z dala Józefem Wybickim.

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)



Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)



Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)

Aby przeczytać całą książkę, odwiedź [www.legimi.com](http://www.legimi.com)